

Sztuka dla artystów?

str. 3

POD OPOLEM LUB.

Maciej Podgórski str. 2

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamienia

LUBLIN 25 VI 1978 NR 13 (655)

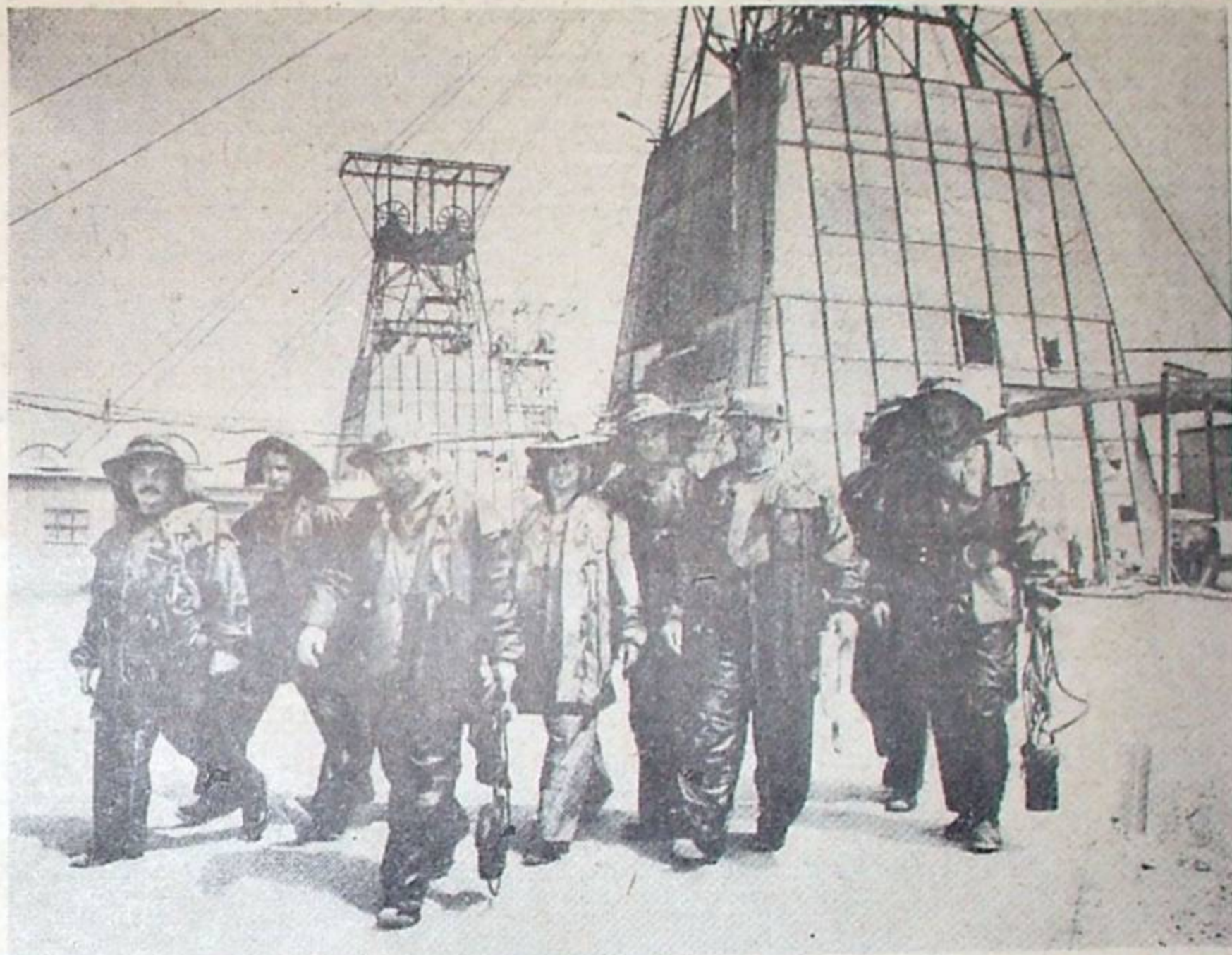
DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

KILOMETR POD ZIEMIĄ

Tadeusz Jasiński

KIEROWNIK budowy szybu drugiego, Mieczysław Mielczarek, zgodził się, ledwo skrywając uśmiech, który towarzyszy doświadczonym górnikom, gdy mówią o gorach, a jeszcze bardziej o tych, co pracować na dole nie zamierzają, ale pragną zobaczyć, jak tam jest naprawdę. Ja takim właśnie jestem, a ledwo skrywana ironia nie może mnie urazić, bo przecież bardzo chcę znaleźć się tam, na głębokości 800 metrów, a może nawet o kilka niżej. To ostatnie jest jednak niemożliwe, bo musiałbym na dole przeczekać nie jedną, nie dwie zmiany. Jest jednak we mnie to pragnienie, bo tego dnia na zmianie brygady Stanisława Sylwestrzaka środkiem pokazały się bryły węgla. Teraz zjeżdżam do grupy przodowego górnika, Stanisława Walasa, i wróżę sobie, aby właśnie w czasie mojej tam obecności karbom pokazał się na całej średnicy spągu górotworu. Młody sztygar zmianowy, Wiesław Szurek, jest niezwykle opiekuńczy, czuwa, aby mi się nie stało od chwili, gdy wdziewam robocze ubranie ochronne, kiedy biorę górniczą latarkę i wchodzę po drabinie do wielkiego kubła, w którym przed chwilą przyszedł na górę uropek, przez czas jazdy w dół, a także w drodze powrotnej. Przebywamy cztery metry na sekundę i chociaż nie jest to obudowana



Brygada Walasa po pierwszej zmianie

Fot. J. Mirosław

Dokończenie na str. 4-5

Drogi do niepodległości

ROZMOWA Z JERZYM KUNCEWICZEM

MIROSŁAW DERECKI: Kiedy jesienią ubiegłego roku rozmawialiśmy o ostatnich dniach II Rzeczypospolitej, o końcowej fazie okresu „Przed burzą” i nastrojach, jakie przeżywał Państwo wtedy tutaj, w swoim kamieńskim domu, Maria Kuncewiczowa powiedziała m.in. o „zachłystnięciu się niepodległością” tak charakterystycznym dla pokolenia które dzieciństwo i lata szkolne spędziło jeszcze pod zaborami I dla którego listopadowe wydarzenia 1918 r. zdawały się być ostatecznym ukoronowaniem tej walki, jaką Polacy prowadzili od przeszło stu lat. Młoda polska rzeczywistość okazała się jednak znacznie bardziej skomplikowana niż to się mogło wydawać równieśnikom Cezarego Baryki: przypomniał o tym choćby ostatni film Jerzego Kawalerowicza — „Śmierć prezydenta”. Z drugiej strony, serial telewizyjny Jerzego Antczaka „Noce i dnie” według powieści Marii Dąbrowskiej (a szczególnie jego ostatnie odcinki) dał jakże żywy i przekonujący obraz tej młodzieży z początku stulecia, która odrzucając pozytywistyczne ideały ojców, wolna już od psychozy kłęski po-

powstaniowej, parla, pełna szlachetnego zapału, do walki o wyzwolenia kraju i sprawiedliwość społeczną.

Jest pan jednym z typowych przedstawicieli tamtego młodego pokolenia: walka o polską szkołę, wcześniej rozpoczęta działalność w ruchu ludowym na Lubelszczyźnie, aresztowania, ucieczka do Belgii, tamtejsze studia i uczestnictwo w polskich organizacjach niepodległościowych. Wreszcie — powrót do Lublina w 1916 r., gdzie stał się pan jednym ze współzałożycieli stronnictwa ludowego. Nie mówiąc już o dalszych latach działalności których doświadczenia znalazły odbicie m. in. w dwóch wydanych w latach trzydziestych książkach: „Przebudowie” oraz „Republice Globu”.

Co zdaniem pana stanowiło o „sile przebiecia” — jak byśmy dzisiaj powiedzieli — młodzieży urodzonej w ostatniej dekadzie minionego wieku?

Dokończenie na str. 8-9

HENRYK KOZAK

SOBOTA

Lipcowe popołudnie sobota
liliowe niebo
w oknach
kobiety suszą w słońcu włosy

Przed wysokimi blokami
umorusane dzieci
i długi
kolorowy rząd aut
w otwartych bagażnikach
namioty
koszyki z kielbasą
i jajkami na twardo

Jeszcze chwila i zjedzą żony
mężczyźni przy samochodach
nie mogą doczekać się
zmroku

Nauka i życie

DYSKUSJA głęboka i owocna. Dyskusja krytyczna, która ujawniła różne trudności i zahamowania, wskazała na istniejące, nie wykorzystane rezerwy. I Sekretarz KC PZPR, Edward Gierek, tak podsumował wypowiedzi poszczególnych mówców, którzy zabrali głos na XII Plenum KC, uzupełniając swymi uwagami referat Biura Politycznego KC „O dalsze umocnienie roli nauki w społeczno-gospodarczym rozwoju kraju.”

Sam referat zawierał wiele interesujących faktów. W latach 1971—1977 dwukrotnie wzrosły nakłady na prace naukowo-badawcze i rozwojowe. Wydano prawie dwukrotnie więcej patentów na krajowe wynalazki. Przeszło trzykrotnie wyższe efekty ekonomiczne uzyskano z tytułu wniosków racjonalizatorskich zgłaszanych przez załogi w zakładach przemysłowych. W rezultacie wielkiego wysiłku inwestycyjnego dokonana została modernizacja potencjału wytwórczego kraju. Dzięki dynamicznemu wzrostowi gospodarczemu mogliśmy młodym zapewnić nowoczesne warsztaty pracy.

Po to, by nauka mogła efektywnie realizować swoją funkcję społeczną, muszą być spełnione co najmniej dwa warunki. Pierwszy z nich to rozwój samej nauki, drugi — to więź nauki z życiem, z potrzebami kraju, synchronizacja kierunków badań z kierunkami rozwoju gospodarki i kultury narodowej, koncentracja wysiłku na zadaniach najważniejszych oraz sprawnie i efektywnie działające mechanizmy stosowania wyników badań w praktyce gospodarczej i społecznej.

Więź nauki z życiem... Ostatnio badania w kilku programach rządowych przyniosły spore efekty.

I tak np. badania w programie „Miedz” przyczyniły się do uruchomienia produkcji nowych i zmodernizowanych maszyn oraz urządzeń, a także do zastosowania ich w kopalniach miedzi. Z kolei efektem prac badawczych w programie „Budownictwo mieszkani-

we” stały się nowe urządzenia i lepsze, trwalsze materiały budowlane. Realizacja programu „Białko” to 210 nowych technologii, konstrukcji, odmian roślin uprawnych. Natomiast program „Walka z nowotworami” to wdrożenie urządzenia „Radotron” do śródtrakcyjnej terapii nowotworów narządu rodowego. I wreszcie program „Woda”, czyli opracowanie nowej technologii i budowy prefabrykowanych zbiorników na wodę i ścieki.

Przykłady można mnożyć. Władysław Kruk, I sekretarz KW w Lublinie, mówił w dyskusji o środowisku naukowym naszego miasta przypominając, że naukowcy z UMCS opracowali metodę utylizacji mułów węglowych, którą dotychczas zastosowano w dziesięciu kopalniach, a efekty z tego tytułu przekraczają 50 mln złotych rocznie. W Politechnice Lubelskiej opracowano metodę stabilizacji wody w przemysłowych obiektach chłodniczych, co dało już wielomilionowe efekty. Naukowcy z Akademii Rolniczej opracowali program rejonizacji produkcji roślinnej na obszarze makroregionu, a z Akademii Medycznej — nowe metody diagnostyczne i lecznicze w schorzeniach oczu, serca i onkologii klinicznej.

Osiągnięcia bezsprzecznie więc są, ale... Stefan Węgrzyn, dyrektor Instytutu Informatyki Politechniki Śląskiej w Gliwicach, powiedział m. in. w dyskusji na plenum: *Powiązaniem nauki z potrzebami gospodarki narodowej poświęcono już sporo uwagi i wyciągnięto właściwe wnioski. Wynika z nich m. in. to, że należy doskonalić mechanizmy przenoszenia prac naukowych do praktyki. Ale [...] zarysowuje się niebezpieczeństwo powstawania w polu nauki plodów niedojrzałych, pozorowanych, o niewielkiej wartości naukowej i niewielkiej atrakcyjności dla gospodarki narodowej. Źródłem tego może być dezintegracja, podziały i osłabianie spójności nauki jako całości.* Stefan Węgrzyn nie szczędził słów krytyki, stwierdził, że są jeszcze warunki do tworzenia się zamkniętych, nie kontro-

lowanych enklaw, często o przypadkowych składach osobowych, napuszonych nazwach używanych jako barwy ochronne. W enklawach tych powstaje również napuszony, sztucznie przeformalizowany język, który ma ukryć pustkę i brak istotnych wartości naukowych...

W tym świetle szczególnej wagi nabierają słowa Witolda Nowackiego, prezesa Polskiej Akademii Nauk, który jeszcze przed XII Plenum pisał w piątym nr-ze „Nowych Drog”: *Nauka jest wielką sprawą publiczną. Jej stan, rozwój, wyniki i potrzeby powinny być publicznie dyskutowane, ponieważ tylko w warunkach społecznej kontroli i odpowiedzialności za głoszone poglądy rodzic się mogą słuszne decyzje.* Ale dyskusja i krytyka naukowa są potrzebne nie tylko ze względu na potrzeby sterowania rozwojem nauki. Jest to konieczny warunek rozwoju samej nauki. Postęp poznawczy dokonuje się w procesie ciągłego przewartościowania doświadczeń. Tymczasem stan krytyki naukowej w Polsce budzi uzasadniony niepokój: brakuje publicznych dyskusji, zanikają polemiki w czasopiśmie naukowych, środowisko naukowe nie reaguje na głoszone pod szyldem nauki poglądy, sprzeczne z metodą naukową i naukowym światopoglądem, a także na głosy krytyki pod adresem nauki, określonych jej dziedzin lub placówek.

XII Plenum KC podjęło na zakończenie obrad odpowiednie uchwały, w tym doniosłą uchwałę o kompleksowym programie zagospodarowania i wykorzystania Wisły oraz zasobów wodnych kraju. Jest to ogromne zadanie o historycznym dla naszego kraju znaczeniu. Komitet Centralny PZPR zalecił rządowi przygotowanie programu realizacji w latach 1981—2000 tego przedsięwzięcia. KC przedstawi go do akceptacji na VIII Zjeździe Partii.

(j)

SZPALTA O SPORCIE

W NASTĘPNYM numerze „Kamery” będziemy mogli już ocenić współzawodnictwo Europy i Ameryki Południowej w piłce nożnej. Na razie tylko Polska mierzy swoje siły z Latynosami. Układ dwu grup los tak ustawił, że z pięciu drużyn europejskich cztery walczą między sobą, a Polska znalazła się obok Argentyny, Brazylii i Peru.

Walka Latynosów z Europejczykami nie powinna nam jednak przesłaniać tego, co dzieje się z piłką nożną na innych kontynentach, reprezentowanych w mistrzostwach świata zaledwie przez dwie drużyny. Przed czterema laty były one tylko dostarczycielami punktów dla swych partnerów w grupach eliminacyjnych.

W tym roku w Argentynie Iran pokrzyżował szlaki Szkocji. Właśnie dzięki remisowi z tą drużyną nie zmieściła się Szkocja w ósemce najlepszych drużyn świata i sprawiła wielki zawód zwolennikom brytyjskiej szkoły piłkarskiej, która niejednokrotnie zdobywała laury mistrzowskie.

Największą jednak rewelacją trzeciego świata piłkarskiego okazała się Tunezja. Trzy punkty zdobyte przez tę drużynę w rozgrywkach grupowych, zwycięstwo nad Meksykiem, świetnie rozegrany mecz z naszą jedenastką, która wielkim wysiłkiem i szczęściem obroniła zwycięstwo jednobramkowe przy silnych, przemysłanych, dobrych technicznie atakach Tunezyjczyków, oraz remis z drużyną mistrzów świata — RFN — to bilans, którego nie powstydziliby się wiele znanych zespołów europejskich z długoletnimi tradycjami, doświadczeniem w spotkaniach międzynarodowych i gwiazdami światowego futbolu.

Drużyna tunezyjska dowiodła, że w Afryce piłka nożna nie chce pozostawać w tyle za innymi dyscyplinami sportu. Wyczyny biegaczy afrykańskich, rekordy świata ustanowione przez nich, medale olimpijskie, których zdobywanie zapoczątkował Bikila Abebe, rozślawiają na stadionach świata lekkoatletów afrykańskich. Tunezyjscy piłkarze idą za swymi afrykańskimi kolegami — lekkoatletami i kto wie, jak to będzie za cztery lata.

A że piłka nożna w Afryce weszła na nową drogę, świadczy nie tylko postawa Tunezyjczyków w rozgrywkach „Mundial — 78”. Świadczy o tym też to, że nie byli oni bezkonkurencyjni w kontynentalnych eliminacjach, że toczyli ciężkie mecze z zmiennym szczęściem, z konkurentami z innych krajów afrykańskich.

Już w roku bieżącym w bezpośrednich spotkaniach z drużynami afrykańskimi Tunezja nie zawsze wygrywała. Ma ona na swym koncie porażkę z Libią na wyjeździe 0:1 i zwycięstwo u siebie 3:1. W marcu w rozgrywkach o puchar Afryki zremisowała 1:1 z Marokiem i wygrała 3:1 z Ugandą, ale przegrała 1:0 z Ghaną. Tak więc drużyn zbliżonych poziomem do Tunezji jest w Afryce więcej i należy przypuszczać, że będą one się coraz bardziej liczyć na światowej piłkarskiej giełdzie.

Likwidacja kolonializmu w Afryce przynosi rezultaty w różnych dziedzinach życia gospodarczego i politycznego, przynosi też rezultaty w sporcie. Tunezyjska — a można przypuszczać, że w ogóle afrykańska — piłka nożna łączy w sobie odwagę i bojowość narodów południowych z teorią i taktyką drużyn europejskich, które są dla nich wzorem. Trenerzy afrykańscy, jak P. Chetali — trener tunezyjski — kończą studia trenerskie w Europie i przenoszą zdobytą wiedzę na kontynent afrykański.

Po udanym udziale Tunezji w „Mundial — 78” należy przyznać rację Chetaliemu, który przed meczem z Polską powiedział w wywiadzie udzielonym korespondentowi PAP:

„Myślę, że w najbliższych latach zespoły kontynentu afrykańskiego włączą się do światowej rywalizacji. Materiał ludzki jest doskonały, talentów nie brak. Potrzebna jest tylko większa dyscyplina gry, bardziej zorganizowany trening, lepsze warunki szkolenia.”

tgw

Kosmici pod Opolem...

Maciej Podgórski

JAN W. jest niski, chuderlawy i wygląda na zniszczonego ciężką pracą. Ma 71 lat, gospodarzy wraz z żoną i trzema dorosłymi synami na kilku hektarach — jak powiada — piachu i krzaków, w Emilcinie koło Opola Lubelskiego. Widać niedostatek w jego drewnianej chałupie i całym obejściu. Twierdzi, że ukończył 4 klasy wiejskiej szkoły bardzo dawno, telewizora nie posiada i nie ogląda, wódki zasadniczo nie pije, najwyżej dwa kieliszki przy uroczystej okazji chrzcin czy wesela, ze zdrowiem czuje się jeszcze całkiem dobrze, pamięć mu dopisuje, wzrok także.

Jana W. spotykam 10 czerwca na łące, położonej przy lesnym, bocznym dukcie, jak z synem roztrzaskają siano. Deszcz wisi w powietrzu i z robotą trzeba się spieszyć. Syn Jana W. klinie głębno, niewybrednie i wyraźnie pod moim adresem: „Złazi się tutaj różni, — wa jego mać, od miesiąca; wypytyują, nagrywają, fotografują, nie dalej niż godzinę temu jeden był i głowę zawracał, teraz znowu pan czas zabiera, a robota stygnie...”

Powiadam, że każdy ma swoją robotę, nie zabiorę wiele czasu, i Jan W. prowadzi mnie w TO miejsce. Widzę dwa spore skrawki wypalonej, zrudziałej murawy i pytam, czy one zostały po T A M T Y M zdarzeniu? Nie, oznajmia przytomnie Jan W., to słońce spaliło miejsce, gdzie krowy niedawno mocz oddały. A T A M T O zdarzyło się równo miesiąc temu, w środę, 10 maja, przed godziną ósmą rano.

Z OPOWIEŚCI JANA W.

Jechał samotnie lesnym duktem, powoząc kobylicą, z którą wracał od ogiera. Zauważył, że przed wozem idą w tym samym kie-

runku dwie osoby i oglądały się. Gdy się zwrócił, osoby gestem zatrzymały go, wstąpiły na furę i jada.

Jak wyglądały? Około 1,5 metra wzrostu. Odziane w czarne, obcisłe skafandry. Kształt ludzkie. Twarze zielone o wystających kościach policzkowych, przypominające Chińczyków. Ręce zielone z błoną między palcami. Porozumiewały się bardzo szybkim monotonnym jazgotem, z niezłym nieporównywalnym, nawet z żydowskim szwargotaniem. Czy bał się ich? Przecież oni byli jak ludzie.

Włec idą. Po chwili zobaczył poład stojący w powietrzu parę metrów nad łąką, w pobliżu olszyny. Może to był helikopter? Nie, „kolikoptery” on w życiu widział. Przypominało to raczej osobowy, niewielki pekaes, jakie dawniej kursowały. Tyle że poład był koloru białego, bez okien i wydawał ciche, ciągłe bzyczenie; na czterech rogach obracały się wirniki.

Osoby gestem nakazały mu stanąć, zatrzymał się, lejąc zarzucał na kłonicę, klacza zaczęła się ploszczyć, ale zeszli z wozu i idą. Z pojazdu opuściła się winda wstąpił i wjechał do środka, gdzie było dosyć ciemno; nie dostrzegł żadnych urządzeń, tylko jeszcze dwie podobne osoby i kilka zwyżczonych nawronów, żywych, doszły niemrawych. Czy bał się wejść do pojazdu? Plochliwy nie jest, no i rozkaz był.

Osoby poleciły mu, żeby się całkiem rozbrajał, i przyrzędem przypominającym dwa złożone talerzyki robitły mu jakby przekształcenie czy zjedzia z wszystkich boków. Częstowały go czyniły przedczystym, podobnym do sonli zwisających zimą z dachu, ale stumaniał i odmówił, choć osoby łamały te sople i jady. Teraz żałuje, że odmówił. Może udałoby się schować taki sople i byłby dowód.

Wreszcie osoby zarządziły, żeby się ubrał. Odziany, pokłonił się czapka i winda zwiózła go na ziemię. Zaciął koma, posnął do wsi, żeby synów i sasiadów zwołać. Ale jak się zbliżył pod olszynę, nikogo ani niczego nie zastał, tylko lake stratomana i jakies dziwne ślady. Co z tymi śladami? A zadenotały krowy i ludzie, tak że gdy milicja przyjechała to już nie było można było odróżnić. Włec milicja powiedziała: „Pan jest się pewnie wódki napił, zasnął na wozie i się przyśniło”. Ale on nie spał i był trzeźwy.

JEST kwestia, czy Jan W., raczej prostaczek boży, umiałby w ogóle wymyślić taką historię i po co? Jego syn, który mnie okłż z początku, powiedział na ostatek, że gdy wówczas przybiegli pod olszynę, zobaczył na błotnistym podło-

Trzydziestego maja odbyła się kolejna dyskusja redakcyjna, tym razem poświęcona niektórym problemom sztuki współczesnej. Wzięli w niej udział krytycy sztuki i organizatorzy życia artystycznego z kilku miast kraju: Bydgoszczy, Warszawy, Wrocławia i Lublina. Oto obszernie jej fragmenty, sygnowane nazwiskami: Marcellego Bacciarelliego (z tygodnika „Fakty 78”), Marcina Giżyckiego (z tygodnika „Literatura”), Macieja Gutowskiego (redaktora działu plastyki w „Kulturze”, kierownika Zakładu Historii Architektury i Konserwacji Politechniki Białostockiej), Jerzego Olka (kierownika Wrocławskiej Galerii Fotografii, redaktora kwartalnika „Fotografia”). Redakcję reprezentował Ireneusz J. Kamiński.

I. J. KAMIŃSKI: — Od dłuższego czasu spotykam się z twierdzeniem, jakoby sztuka była dziś wewnętrznie sprzeczna z otoczeniem artystycznym. Pogląd taki wyrażają ludzie związani z konceptualizmem, fot-artem czy video, a i dwie godziny przed wystąpieniem panów w sali lubelskiego Biura Wystaw Artystycznych coś na ten temat usłyszałem od Jerzego Olka. Przyznaję, że takie postawienie sprawy budzi we mnie głęboki sprzeciw. Dokąd może zaprowadzić sztukę konsekwentne realizowanie wspomnianej tezy?!

J. OLEK: — Ja tylko stwierdziłem pewien fakt, dostrzegalny w niektórych rejonach sztuki, nie więcej. Daleko posunięta specjalizacja w sztuce doprowadziła do tego że artyści skupieni wokół jakiegoś programu nie mają kontaktu z innymi kręgami, wręcz nie mają pojęcia o tym, co dzieje się na innych obszarach kreacji. W odróżnieniu od aktywności opartej na dobrych w swoich intencjach hasłach sztuki otwartej, manifestującej się na przykład we wrocławskiej plastyce i teatrze, interesująca mnie tutaj działalność twórcza jest zamknięta z natury rzeczy — nie z założenia — przez swoje wyspecjalizowanie, a nawet przez wypracowanie swoistej grypsery sztuki, slangu zrozumiałego tylko dla określonego kręgu: artystów, krytyków, stałych kibiców. Taka sytuacja skłoniła kiedyś Stefana Morawskiego do refleksji na temat zbliżania się swoistej rekonstrukcji średniowiecznego systemu funkcjonowania sztuki, w którym przestają znaczyć instytucje w rodzaju muzeów czy BWA, a działalność twórcza zaczyna spełniać się w komunach artystycznych. Taką komuną jest na pewno krąg Grotowskiego... Wiele zjawisk z tego obszaru ma charakter interdyscyplinarny i nosi wszelkie cechy kreacji zbiorowej, do której zaliczyłbym także sympozja; imprezy aktualizowane przez ludzi o różnych profesjach.

M. BACCIARELLI: — Solidaryzuję się z Kamińskim: zamknięcie to fatalne słowo. Zresztą określa ono sytuację, której nie było i nie będzie. Postawmy inaczej problem: czy sztuka jest dla wszystkich? Aby go rozwikłać, trzeba dokonać istotnej klasyfikacji, o czym często się zapomina. Otóż niektóre dziedziny sztuki są dostępne dla wszystkich, a inne nie. Plakat i fakty spod znaku pop są akceptowane powszechnie, natomiast twórczość, o której mówił Olek, znajduje adresata w węższych kręgach, co nie znaczy, że jest hermetyczna. Ona trafia do ludzi, którzy zadają sobie pytania dotyczące świata, kondycji człowieka, etyki — a to nachylenie nie bywa znów tak powszechne. Istnieje też sztuka „kolysząca do snu”, istnieje inna. Współczesna moralistyka Hasiora koncentruje uwagę wielu ludzi...

I. J. KAMIŃSKI: — Kwietniową wystawę Hasiora w lubelskim BWA obejrzało osiem tysięcy...

M. BACCIARELLI: — Z kolei twórczość Stażewskiego interesuje węższe kręgi. Trochę więc przekonanie próbowałem postawić problem: „czy sztuka jest dla wszystkich”, bo on właściwie nie istnieje. Sztuka jest zjawiskiem złożonym, a poszczególne jej dziedziny adresowane są do różnych poziomów ludzkiej świadomości i wrażliwości.

M. GIZYCKI: — Jeśli jednak powszechnie istnieje takie odczucie, że sztuka oddala się od odbiorcy, to zastanówmy się, czyja to wina? Może nie jej własna... Będąc wytworem kulturowym nie sama decyduje o miejscu w układzie społecznym. Być może cała sytuacja w kulturze powoduje odsuwanie się widza od sztuki i żadne tupanie nogami nie zmieni tego procesu o charakterze obiektywnym. Powinniśmy zatem skupiać się nad refleksją ogólniejszą, patrząc na sztukę ze stanowiska socjologii. Analizowanie poszczególnych jej przejawów nie daleko prowadzi.

M. BACCIARELLI: — Poza tym, mówiąc o sztuce nie ograniczamy się tylko do plastyki, czy w ogóle do kreacji wizualnej.

M. GUTOWSKI: — W wywiadzie, który swego czasu przeprowadziłem z artystą, Jonasz Stern powiedział, że „Sztuka jest jak butelka z listem, rzucana w ocean. Kto będzie chciał, ten ją znajdzie”. Wydaje się, że w tych słowach tkwi klucz do omawianego przez nas problemu. Owszem, istnieje sztuka, którą może z należącym stosunkowo wąską grupą ludzi, ale przecież nie mówimy, że jest to sztuka dla artystów! W tych niewielkich komunach, o których była mowa, znajdują się bardzo różni ludzie: fizycy, maturzyści, młodzi bez matury i starszy pan, który całe życie zajmował się ekonomią i nagle chwycił problemy sztuki, tak przecież bliskie zagadnieniom metafizyki czy etyki. Ale są i takie „bu-

telki”, które może wybrać każdy. Pytanie, które z nich są ważniejsze, wydaje mi się bezzasadne.

J. OLEK: — Obrazem sytuacji w recepcji sztuki jest model piramidy. Pojawiają się działania wyspekulowane, które przy pierwszym z nimi kontakcie okazują się absolutnie niezrozumiałe, albowiem zgodnie z nawykiem próbuje się je „skonsumować” wizualnie. Tymczasem ta twórczość tłumaczy się w sferze intelektualnej, wymaga głębszego wglądu, też retrospektywnego, w refleksję, która towarzyszy słuchającym ludzi, jak Gostomski czy Jurkiewicz. Ale szeroki krąg odbiorców poprzestaje tylko na fizycznym postrzeganiu rzeczy, co zubaża twórczość wspomnianych i pokrewnych im artystów. I właśnie tego rodzaju widownia tworzy największe kwadraty wspomnianej piramidy.

I. J. KAMIŃSKI: — Od ponad pół wieku, od futurystów, Malewicza i dadaistów komentarz autorski towarzyszy dziełu o postaci materialnej, stał się jego integralnym składnikiem, czego jednak nie dostrzega szeroka publiczność. Ale: gdzie jest miejsce dla awangardy w naszkicowanym przez panów układzie?!

M. BACCIARELLI: — Awangarda to sztuczny twór, wykorzystywany dla celów prestiżowych i administracyjno-artystycznych. Dzisiaj wielu kreuje się, we własnym zakresie, na awangardę.

M. GUTOWSKI: — Nie odrzucałbym tak łatwo pojęcia awangardy jako określonej postawy, tożsamej z walką ze stereotypami. Wykluczając plastykę użytkową, właściwa twórczość artystyczna musi być zaprzeczeniem stereotypu, lub takim jego opa-

I. J. KAMIŃSKI: — Pora zatem, aby zapytać, czy sztuka ma dzisiaj wpływ na stan świadomości społecznej? Czy wobec standaryzacji masmediów i treści przez nie przekazywanych nie jest ona przypadkiem (?) czymś w rodzaju higieny psychicznej i moralnej świata, no, niektórych jego kręgów kulturowych? Takie „wydarzenie na Dworcu Centralnym w Warszawie”, gwałtownie wytrącające ludzi z ich codzienności...

M. GIZYCKI: — „Wydarzenie” było omijane przez ludzi! A że nabrało w końcu rozgłosu, to zasługa telewizji, która zresztą współorganizowała akcję. Nie tyle sztuka ma dziś wpływ na stan świadomości, co media — bez względu na to, co pokazują.

M. BACCIARELLI: — Tylko w ograniczonym zakresie można się z tym zgodzić. Mój zdaniem świadomość kształtują jednak przekazywane treści.

J. OLEK: — Kamiński poruszył kapitalny problem: że sztuka jest często wentylem bezpieczeństwa, czymś, co chroni nas przed wariactwem. Jest ucieczką i potrzebą zdrowia psychicznego, już w obecnych swych przejawach uwierzytelnia przekonanie, że kiedyś wszyscy będą artystami — na swój własny użytek, bez pomocy telepatii, do której zachęcał na naszym gruncie Ludwiński.

I. J. KAMIŃSKI: — Czytujemy Marksa, który spełnienie możliwości kreacyjnych człowieka widział w pracy wyzwolonej z jednostkowej konieczności zarabiania na życie, w pracy traktowanej *con amore*...

M. GUTOWSKI: — Czy zastanawialiśmy się kiedyś, ilu ludzi ogląda w Polsce wystawy plastyczne? Otóż koszmarnie dużo! Jedna ekspozycja ma prze-

Sztuka dla artystów?



BWA w Lublinie. Spotkanie z krytykami sztuki. Od lewej: Marcell Bacciarelli, Jerzy Olek, Maciej Gutowski i Marcin Giżycki

Fot. A. Polakowski

nowaniem, jakie znajdujemy u Boltanańskiego, który ze zwykłych fotografii prasowych uczynił coś w rodzaju narzędzia do „wywrócenia stereotypu”. Artysta awangardowy ciągle zadaje sobie pytanie: czy ja nie posługuję się stereotypem? Jeśli tak, to właściwie niczego nie mówię lub przekazuję informacje popularyzatorskie, co właśnie my, krytycy, robimy z założenia. Dotarcie do twórczości nie powielającej stereotypów jest dla wielu odbiorców bardzo trudne. Z drugiej strony: osoby znajdujące się w pewnej odległości poznawczej od artysty nie uznają za stereotyp tego, co nim jest w oczach ludzi dobrze znających dzieło owego artysty.

J. OLEK: — I tak powstaje „piramida”, która w moim przekonaniu nie ma jednak nic wspólnego z modelem hierarchicznym.

M. BACCIARELLI: — Z moich spostrzeżeń na temat awangardy wynika, że często jest ona rezultatem autonomizacji. A ten, kto mianuje się awangardowym, uważa się za więcej wartego od innych. Więc protestuję przeciwko takiej sportowej gonitwie za pierwszym, drugim czy trzecim miejscem. Natomiast mogę zaakceptować awangardę jako specyficzną gotowość do walki ze stereotypami... Inna kwestia: w Polsce upowszechniło się przekonanie, że plastyka to produkowanie przedmiotów. Tymczasem wiadomo, że np. futurysta, dadaizm czy konceptualizm wniosły do majątku kulturowego przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, wartości intelektualne, a nie materialne, wymierne w sensie fizycznym. Dadaizm istnieje w obowiesci, w micie, w poruszającym umysły geście,

ciężnie od 100 do 1500 widzów, więc kiedy pomnożymy te liczby przez 2000 wystaw urządzanych rocznie w kraju, otrzymamy publiczność składającą się z setek tysięcy. A tymczasem na temat społecznego zainteresowania sztuką funkcjonuje u nas mitologia zupełnie negatywna.

I. J. KAMIŃSKI: — Mówiliśmy o roli telewizji. Czy nie zastanawia panów fakt, że ten najbardziej dziś powszechny i standardowy środek przekazu i kształtowania społecznej optyki został, przez artystów z kręgu video, wykorzystany całkowicie przeciwnie: do bardzo kameralnej, powiedziałbym — ezoterycznej kreacji?

M. GUTOWSKI: — Zawsze nas intryguje, czy nie da się przewrotnie użyć materiału, którym dysponujemy...

M. GIZYCKI: — Na przykład zegarkiem wbić gwóźdź.

M. GUTOWSKI: — Właśnie: czy nie da się czegoś tak masowego, jak telewizja, użyć do czegoś tak intymnego, jak sztuka video.

M. BACCIARELLI: — Popelniamy błąd metodologiczny, albowiem video nie jest żadną telewizją, tylko wykorzystuje środki techniczne tego medium.

M. GIZYCKI: — Ale video jednocześnie zeruje na telewizji i ją kontestuje.

Dokończenie na str. 4

KILOMETR POD ZIEMIĄ

Dokończenie ze str. 1

winda, czując się bezpieczny. Emocje przeważają spodziewany strach.

Przez niedługą chwilę krążek światła był jeszcze nad naszymi głowami i wciąż się pomniejszał, by wreszcie zgasnąć zupełnie, bo sygnalista zamknął nad nami ciężkie, żelazne kłapy. Spostrzegam, że małe światełko latarki Szurka daje teraz większy odblask, bo sprzyja temu dookólna ciemność. Miaruję, że i ja powinienem zapalić. Wciąż zjeżdżamy, choć zdaje mi się, że przewidziane 200 sekund musiało już minąć. Przez chwilę mam uczucie, że to nie my zjeżdżamy w dół, ale ociosy, ale ściany potężnej studni odpływają ku powierzchni, a nasz kubeł stoi w miejscu. Ściany są coraz bardziej zapocone, bo po zaprzestaniu mrożenia uchodzi z nich mróz i daje srebrny poblask. Krótka zmiana dla oczu. Wokół nas rozpięają się wielkie kłęgi, a więc zjechaliśmy dopiero do głębokości 580 metrów. To tutaj została ujarzmiona kurczawka, strzegąca skarbów podlubelskiej ziemi, to na tym poziomie w sąsiednim, pierwszym szybie trysnęła z mocą 60 atmosfer i prawie na rok zahamowała roboty. W drugim szybie, w którym wciąż opuszczamy się niżej, inżynierowie i górnicy potrafili się już ustrzec tego żywiołu, podczas gdy tam, o kilka metrów dalej, jeszcze zagrażał człowiekowi i jego trudowi, nawet wówczas, gdy kurczawkę wreszcie pokonał i w styczniu zszedł poniżej 700 metrów, sięgnął po pierwszą warstwę węgla, pokazaną w gablotach na Placu Litewskim i w stolicy, na II Konferencji Partyjnej.

W tym czasie jednak ci z drugiego szybu zdążyli pójść głębiej, choć później zaczęli drażnić. Uzmysławiam sobie pospiesznie moc, jaka została przegrodzona tubingami i mimo woli odważę się we mnie mniej. Ze ścian, które są znowu z około metrowego betonu, spływają już całe strugi wody i jest dość zimno.

Wreszcie mijamy pomost, na którym czuwa młodziśnista ładowarka, Wojciech Stec. Na znak sztygara zatrzymujemy się przy nim; pochodzi z rzeszowskiego. Tak, rękę musi mieć pewną, wielkie w niej wycucie, a oczy pracują jeszcze więcej. Od najmniejszego ruchu zależy właściwie wszystko, co może się wydarzyć pod nim, na samym spodzie wyrobiska. Uzmysławiam sobie prawdę tej samooceny Steca, gdy kubeł osiada na samym dnie, a obok czają się pazury dużej ładowarki, która pracuje wśród górników. Widzę kilkunastu ludzi w kapturach. Przesuwają się pod sam ocios, aby pozwolić nam wygramolić się z kuba, a równocześnie nie wejść w drogę szponom ładowarki. Już nie po ścianach tylko, ale wprost z góry leje się na nas ciepła woda. Kaptury z długim daszkiem, spadającym na plecy, chronią nas przed zamoczeniem. Temperatura około 25 stopni ciepła. Poznaje wśród wielu Franciszka Gorczanina, górnik, który w listopadzie został ojcem. Spotkałem go w tym radosnym dla jego rodziny dniu wśród kolegów w hotelu. I ja wychyliłem wtedy kielicha, żeby mały rósł na dzielnego człowieka. Jest Edward Kedziora, z którym rozmawiałem już na powierzchni, przesuwa się do mnie górnik przodowy Stanisław Wallas. Wymienia mi nazwiska członków swojej brygady, ale z nadmiaru wrażeń nie wszystkie potrafię zapamiętać, dopiero gdy później „przy sobocie po robocie” skorzystałem z zaproszenia na pieczenie barana, zapamiętałem, który jest Stanisław Ptasieński, który Andrzej Szypulski i Feliks Golas, a który Roman Odrobiński, Edward Wójcik, Władysław Pytlowski, Ryszard Woźnica i Gustaw Dul. Z pierwszego przedstawienia zapamiętałem tylko, że wszyscy pochodzą z Lubelszczyzny, że albo w swoim czasie powędrowali na Śląsk, a na wezwanie kierownictwa mysłowickiego Przedsiębiorstwa Robót Górniczych wrócili, albo dopiero, gdy firma ta przyszła do Bogdanki — do niej się przypisali, przyuczuli się zawodu i teraz fedrują, jak sami Ślązacy. Do tych ostatnich należy Czesław



Roman Cieśliewicz: „Zdziecinniały w pończochach Dim”, 1976, collage — foto. (Z czerwonej wystawy artystów prezentowanych przez J. Olka w lubelskim BWA)

Fot. A. Polakowski

Sztuka dla artystów?

Dokończenie ze str. 3

J. OLEK: — Wielu videospektatorów jest uszczęśliwionych, jeśli w programie zawodowej telewizji znajdzie dla siebie kwadrans czy pół godziny.

M. BACCIARELLI: — No bo co to za kontestacja, o której nikt nie wie?!

I. J. KAMIŃSKI: — Czy moglibyście, panowie zhierarchizować ośrodki sztuki w Polsce?

WSZYSCY: — Nie, no nie, ten temat nadaje się do „Nory”!

M. BACCIARELLI: — A jednak spróbuję, nie odpowiadając wprost na pytanie, z natury rzeczy skomplikowane. W jakiejś publicznej dyskusji zauważyłem, że prowincją się nie jest, prowincją się bywa. A zatem: Wrocław nie był prowincją w plastyce, ale jest Galeria „Foksal” nie była, a teraz jest na pewno... Patrząc szerzej na kwestię powiedziałbym, że z autentyczną aktywnością kulturalną spotykamy się obecnie w nowych województwach, które właśnie w tej sferze dostrzegły swoją szansę.

I. J. KAMIŃSKI: — Czy zatem słyszeliście o „Galerii 72” w Chełmie, dawniej zwanym „Lubelskim”?

M. BACCIARELLI: — Czy ona rzeczywiście funkcjonuje w mieście?!

J. OLEK: — Czy istnieje także na zewnątrz?

I. J. KAMIŃSKI: — Zapewniam panów, że tak. Kierowana de facto przez Bożenę Kowalską, dorobiła się stałej publiczności, dość powiedzieć, że na wernisażach bywa 40—50 osób. A Chełm liczy 34 tysiące mieszkańców, wśród których nie ma jednego choćby członka ZPAP.

M. BACCIARELLI: — Szkoda więc, że taka instytucja poprzestaje na szmatko-katalogach.

I. J. KAMIŃSKI: — Gutowski stwierdził, posługując się prostym, lecz wiarygodnym wyliczeniem matematycznym, że społeczne zainteresowanie sztuką jest w Polsce bardzo duże. Ale kto spoza branży, mówiąc po prostu, najlepiej rozumie nową sztukę?

M. GUTOWSKI: Fizycy, a najgorzej: literaci i dziennikarze. A studenci uczelni plastycznych? Ksawery Piwocki ustalił kiedyś, że jeśli w 100 studentów wyluskamy czterech czy pięciu autentycznych artystów, to mamy do czynienia z dobrym rocznikiem i zdrową sytuacją. W akademiach i wyższych szkołach plastycznych mamy około 500 słuchaczy, gdyby więc wszyscy okazali się wybitnie uzdolnieni, to za 40 lat byłoby w kraju 20 000 geniuszy. Takiego dobrodziejstwa nie wytrzymałoby żadne społeczeństwo!

J. OLEK: — Amerykański concern Bell zatrudnia 1000 naukowców różnych specjalności, choć liczba ta znacznie przekracza doraźne, produkcyjne jego potrzeby. Obliczono jednak, że jeśli w okresie kilku lat jeden na stu specjalistów coś wymyśli, coś istotnego skonstruuje, to utrzymywanie tej armii jest całkowicie opłacalne.

M. BACCIARELLI: — W czasie dyskusji w Szczawinie zadałem pytanie: „Co zrobić, żeby rektorem nie mógł być ktokolwiek?”

I. J. KAMIŃSKI: — Pozostawiając odpowiedź czytelnikom „Kamery”, dziękuję panom za udział w dyskusji.

Kamery str. 4

NIGDY nie ukrywałem

swejej admiracji dla węgierskiej muzyki rockowej. Piszę stale na łamach prasy o ciekawych dokonaniach bratanków z kilku powodów, które pokrótce postaram się wyłożyć. Zaczynajmy może od płyt, które uważa się za muzyczne wizytówki. Otóż nie jest żadną tajemnicą, iż symbolem PEPITA sygnuje się dziś krążki posiadające kilka znamiennych cech, jakich w żaden sposób nie uświadczysz na polskim long-playu. Pomijam już w tej chwili treść zapisu ścieżki dźwiękowej, a więc styl, tempo i rytm zawartej nań muzyki, a zatrzymam się na razie przy samej jakości dźwięku (określonej powszechnie symbolem HI-FI). Nagrywane systemem Dolby (wykuczającym szumy i inne zakłócenia) płyty węgierskie odznaczają się przede wszystkim wysoką jakością i selektywnością barwy każdego dźwięku. I to właśnie pozwala im stawiać czoła produktom najbardziej liczącym się w świecie firm fonograficznych (takich jak: „Atlantic”, „Arista” czy „Polydor”). Każda amarantowa naklejka z napisem „Pepita” informuje konsumenta nie tylko o tym, kto i kiedy wydał ów krążek, ale też zamieszcza szczegółowe dane dotyczące tytułów poszczególnych kompozycji i nazwisk autorów, jakości odtwarzanej płyty, oraz łączny czas każdej strony, czego niestety darmo by szukać na dyskach „Muzy” ewentualnie „Pronitu”.

Przejdźmy z kolei do koperty, która ma być informacją i reklamą zarazem. Nasze rodzime koperty są najczęściej drukowane na podłym, mało trwałym papierze, z byle jakim bohomazem na wierzchu i fatalnym liternictwem. Stąd wiele kopert raczej odstrasza niż przyciąga potencjalnego nabywcę (vide krążki „SBB” i „Budki Suflera”). Okładki węgierskich płyt mają oprócz solidnego kartonu, barwnego motywu i pomysłowego zdjęcia wykonawcy mnóstwo szczegółów istotnych dla kolekcjonera i są (co warto podkreślić) lakierowane. Czyni to z nich prawdziwe cacka edytorskie, które przyjemnie nawet wziąć do ręki.

„Locomotiv”

Skoro szatę zewnętrzną mamy już poza sobą, pora przyrzeć się bliżej samej płytce. Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, iż nie wszystkim melomanom musi zaraz przyspaść do gustu twardy hard rock, przeważający wśród produktów made in Hungary, niemniej dla miłośników tego właśnie stylu każdy dysk „Omegi”, „Skorpion”, „Generali”, „Bergendi” czy „Piramisa”, jest prawdziwym rarytatem, który warto posiadać we własnej płytotece. Uderzają na nich przede wszystkim niepospolite brzmienie, ciekawe rozwiązania linii melodycznej, bogata instrumentacja i pedantyczna niemalże dbałość o selektywność poszczególnych planów dźwiękowych. Zwykle na pierwszym planie usytuowana bywa dynamiczna sekcja rytmiczna, a dalej wokół, bo jak wiemy Węgrzy nie mają dobrych piosenkarzy. Jakże strasznie ubogo, czasem wręcz prymitywnie wypadają w porównaniu nagrywane w wielkim pośpiechu płyty Jacka Lecha, Bogdana Zagórskiej, Daniela, czy powiedzmy Janusza Laskowskiego. Przyczyna takiego minusowego stanu rzeczy jest wyjątkowo prosta do rozszyfrowania. Stanowczo za ciasne studio Polskich Nagrań przy ul. Długiej jest nieustannie oblegane przez oczekujących w kolejce artystów, toteż większość dokonywanych tam nagrań jest często kaleką z wielkiego pośpiechu. Przy szalonym tempie przechodzą do produkcji nawet potknięcia solisty czy fałszywe kłopoty z instrumentalistami, co byłoby rzecz jasna nie do pomyślenia w warunkach „Polydora”, „Tania Motown” czy „Phillipsa”. Dość powiedzieć, że grupa „Pink Floyd” pracowała nad jednym albumem okrągle dwa lata, podobnie zresztą „Stevie Wonder”. U nas natomiast te sprawy załatwia się co najwyżej w tydzień.

Węgierscy muzycy wzorem

grup zachodnich rezerwują studio na taki okres, dopóki ścieżka dźwiękowa matrycy nie będzie zupełnie gotowa do tłoczenia, a więc dopóki nie zostaną na niej naniezione wszystkie zaplanowane, najdrobniejsze nawet szczegóły instrumentalne i efekty akustyczne. Prócz tego muzycy otrzymują do swej dyspozycji wybitnych fachowców, inżynierów dźwięku specjalizujących się właśnie w nagraniach rockowych, a nie uniwersalnych omnibusów rejestrujących na jednakowym poziomie szalone glisanda gitary, huraganowe solówki perkusji i powiedzmy chór Kruczkowskiego, ewentualnie „Mazowsze”. Niestety, technika poszła w ostatnich latach tak znacznie do przodu, że dziś każdy, kto chce liczyć się na rynku, dysponuje wysoko kwalifikowanym elektroakustykiem od zapisu dźwiękowego i kolejnych faz jego obróbki, specjalizującym się w nagrywaniu określonego typu muzyki. Niestety, do Polskich Nagrań wieści te jak gdyby w ogóle nie docierały, przeto nie badamy zdziwieni, jeśli fabrycznie nowa płyta na supernowoczesnej aparaturze odtwarzającej wydaje przedziwne szumy i trzaski, a poziom między wokalem a poszczególnymi instrumentami jest zgoła fatalny. W tej sytuacji ARS Polona zajmująca się eksportem polskich płyt nie może mieć zbyt wielu powodów do radości.

Po tych krótkich dygresjach natury ogólnej wracamy do zasadniczego tematu, to jest do węgierskiego rocka. Wśród działających nad Dunajem grup wokalnie - instrumentalnych (a jest ich spore grono) największym powodzeniem cieszy się niezmiennie powstały w 1971 roku „LOCOMOTIV GT”. W ciągu siedmiu lat istnienia „LGT” nagrał aż 15 dużych płyt, zaliczył kilkanaście festiwali, objechał z koncertami niemal całą Europę, Ame-

Pniak, mówi, że dobrze mu się pracuje z tymi nowymi.

W brygadzie Zenona Talarczyka, która w tym dniu ma zejść na trzecią zmianę, także w większości pracują rodzimacy, i oni również czują się, aby w tym dniu pokazać im się węgiel na całej szerokości.

Wieczorem kierownik całej budowy, inżynier Zbigniew Stangret, potwierdził mi, że nie tylko Talarczyk, ale i ludzie brygadziści Bronisza nad ranem, gdy przejmą młoty pneumatyczne z rąk swoich poprzedników, będą pragnęli tego samego a po nich Zdzisława Kuśnirza i znowu Sylwestrzaka i Bronisza, w kółko według zmian. Na razie jednak jestem wśród górników Walasa, umykam pod sam okap ociosu — w którym wyrwane zostało większe wgłębienie — aby nie przeskadzać, by nie odczuwali potrzeby czuwania nad moim bezpieczeństwem.

Kubel, w którym zjechaliśmy, napełnia się znowu urobkiem, wraca z nim do góry, a zjeżdża następny. I tak wciąż przemienne wędrują te pojemniki, są jedyną komunikacją ruchomą z górą, z ludźmi, ze światem. Ale jest jeszcze telefon, są sygnały, obowiązujące w całym polskim górnictwie Stec żongluje ładowarką między górnkami i przenosi zrecznice ich urobek do kubła. Z pomostu i niżej świecą reflektory dużej mocy, a jednak spływająca woda mać obraz, jednak trzeba dużego oswojenia, aby dojrzeć z wysokości ponad dwudziestu metrów, co należy robić maszyną na dole. Pompa wciąż wydajnie pracuje, wysysa z bajora, które utworzyło się pośrodku wyrobiska, kolejne hektolitry wody. Ze ścian napływają jednak wciąż nowe i trzeba je odprowadzić na powierzchnię, znajdującą się przecież aż 800 metrów nad głową. Bokami, dookoła górnicy wciąż pracownicy odrywają kawałkami zeskalanymi łowaty łupek, ale tam czerni się nie chce pokazać. Jedynie w środku co chwilę odrywa się kolejny płat węgla. Sięgam po niego z pewnym wzruszeniem. To już nie patrzenie przez szybę na placu Litewskim, to już nie ten karbon w gablotach dyrektorów i kierowników, ale dotknięty i podniesiony bezpośrednio na dole, tam, gdzie przed milionami lat legły drzewa i zakryła je ziemia, aby teraz odkryć nam przeobrażone bogactwo Biorę popielaty łupek, na którym odcisnął się liść paproci, wyżłobiły się w nim wyraźne kontury rośliny sprzed milionów lat. Były zielone, żywe, teraz zabieram do lubelskie-

go domu tylko ich wizerunek znaczony czernią. Węgiel i łupek stają się ekspozycją w moim domu. Staram się zachowywać tak, jak gdybym nie pierwszy raz znalazł się na takiej głębokości. Jednak ten uśmiech Mielczarka uczulił mnie bardziej, niż jakiegokolwiek słowa przestrogi. Prób rozmowy wnet zaniechałem. Górnicy używają tylko słów niezbędnych, zastępują je gestami, znakami. Pracują: pompa i ładowarka, przegradzają ludzi pojemniki, dmie sprężone powietrze, to dla lepszego oddychania i tamto, które potrzebne jest narzędziom. Chłupocę spływająca woda. Kto zazdrości górnikom wysokich zarobków, niech tutaj zjedzie i popracuje, niech pojmie niebezpieczeństwa, przyswoi sobie ich niefrasobliwą odwagę.

Pod nogami wciąż węgiel, ale jego krag się nie rozszerza. Wygląda to tak, jakby natrafiono na wierzch góry karbonu, ale chociaż schodzą po każdym odstrzale coraz głębiej, wciąż jest taki sam i się nie poszerza. Tak jest na tej zmianie, tak jest w czasie moich tam obserwacji. Potem od kierownika szybu drugiego dowiaduję się, że górnicy wchodzą w warstwę spora, o walorach wydobywczych, ale ją także zamurują, ominą i zejda szybko głębiej, bo tam jest jeszcze lepsza. Stamtąd pójdą chodniki, tam zbudowane zostanie podszybie. Ale trzeba zejść na głębokość kilometra i jeszcze 88 metrów, aby szyb był dość głęboki do eksploatacji, aby można w nim zbudować wszystkie potrzebne urządzenia jej służące, żeby stworzyć warunki do tego pierwszego miliona ton węgla w 1980 roku. Wtedy jednak kopalnia pilotująco-wydobywcza będzie już gotowa, wtedy będzie chyba w pełni wszystko wiadomo o tym, co kryje podlubelska ziemia, jakie zasady, jakie trudności, a nade wszystko dowiemy się, jak nauka i ludzka wytrwałość mogą przezwyciężyć naturę. Idziemy w nowość. Warunki są trudne, ale jesteśmy przyzwyczajeni do trudności, do ich pokonywania. Talarczyk mi dopowie: — Skala się zmienia, a to do niczego dobrego nie prowadzi. Tam, na Śląsku, strop nad węglem był twardy, a tu wydaje się, że łupek jest za kruchy, wygląda pod nogami, jakby spał puchł od wilgoci. Inaczej trzeba będzie obudowywać może chodniki. Większość jest dobrej myśli, ale skala jest teraz miękka, trochę za miękka. Zjadą z Głównego Instytutu Górnictwa, już są naukowcy z kopalni „Barbara”, znajdują sposoby.

Ma swoje wyliczenia i koncepcje mgr inż. Franciszek Krzyżowski ze Zjednoczenia Budownictwa

Górnictwa, który od kilku lat prawie stale przebywa na budowie. Już przekonał, że zbędna jest folia polietylenowa w ścianach obudowy szybów, że za jej przyczyną gromadziły się wody i w zetknięciu z zamrożeniem osłabiały beton. Wiąc dokładne zapiski i analizy staną się dobrym materiałem do naukowych i praktycznych diagnoz, zaleceń. Inżynier Stangret przyswiera tym nadziejom, ale wręca do ludzi, do poszczególnych brygad. Podziela poglądy Mielczarka i nadzycygara Aleksandra Stycznia: — Na drugim szybie nie ma lepszych i gorszych brygad, a ktokolwiek dojdzie pierwszy do następnych warstw węgla, musi podzielić się sławą z pozostałymi, bo nikt z góry w dół sam się nie przekopywał, ale przemienne pracowali wszyscy. Mielczarek mówi mi jeszcze, że zapomniał się o ludziach z oddziału maszynowego sztygara Juliana Widły, a przecież to jest 100 osób, od których zależy wszystko, co jest w ruchu na powierzchni i pod ziemią.

Wszystko to pamiętam, ale kiedy jestem na dole, widzę przede wszystkim zalane potokami wody i potu twarze członków brygady Walasa: zanim minie pełne sześć godzin, naharują się uczciwie. Papierosa nie zapala, bo nie wolno, niektórzy odzwyczailli się już zupełnie, inni zastygają tabaką, jak za starych przedwojennych czasów. Stanisław Walas daje mi znak, abym odpowiednio ukształtował dłoń, w którą nasypie mi tabaki. Jest wilgotna, więc mój nochał nie może jej w pełni wchłonąć, przynajmniej tak bardzo nie kicham. Pomyślałem, że może to poźegnalny gest, że za długo im na dole zawadzam. Zegnam się, przyjmuję zaproszenie na sobotnie piczenie barana, obiecuję przyjechać z pół litrem bia- lej, i z Wiesławem Szurkłem wsiadamy znowu do wehikułu na inach. Nie odczuwam już ciśnienia w uszach, jakie mi towarzyszyło, gdy zjeżdżałem. Przyzwyczailem się? W końcu otworzyły się nad nami znowu wrota i ujrzeliśmy kółko światła z naszego codziennego świata, do którego moi gospodarze z głębokości ośmiuset metrów powrócą po swojej zmianie. Oni jednak bardziej pragną, aby rozszerzył się im pod stopami czarny krag węgla, by odsłoniła się im podziemna płaszczyzna narodowego bogactwa.

Tadeusz Jasiński

góra!

Istvan Grabowski

rykę Północną i Japonię, przycy- niając się tym do rozsia- wienia swego niewielkiego kra- ju w świecie. Oczywiście do le- gendy „Locomotiv” przyczy- niła się nie tylko jego muzyka, ale i umiejętna reklama, na którą pomysłowi Węgrzy nie szczędzili forintów i innych walorów.

W pierwszym okresie swego istnienia zespół gwałtownie poszukiwał optymalnego brzmie- nia, oscylując dosyć wyraźnie wokół „Rolling Stonesów” Claptona, i innych formacji blueso - podobnych. Później przyszły fascynacje „Santana”, „Genesis” i triem Emmerson, „Like and Palmer”, a mimo to czwórce instrumentalistów spod znaku szalonej lokomo- tywy trudno było zarzucić ko- piowanie któregoś z brytyjs- kich czy amerykańskich zes- pólów. W ich kompozycjach, jakkolwiek inspirowanych do- konaniami gwiazd rock and rolla, zaznaczało się wyraźnie coś odmiennie- go, oryginalnego, łącz- nego bardziej z niespokojnym duchem węgierskiej puszty i ognistych tańców cygańskich, niż tradycją amerykańskiego rytm and bluesa. W gronie tego doborowego kwartetu „Presser, Frenreisz, Barta i Laux), określanego bardzo często pierwszą węgierską su- per grupą, na uwagę zasługa- wał młody gitarzysta Tomasz Barta — chłopak o piekielnie sprawnym palcach i wielkiej wyobraźni muzycznej. To wła- śnie jego pomysły muzyczne i przepiękne, płynne solówki zjednywały „Locomotivowi” coraz to nowe rzesze sympaty- ków. Ale skupienie w jednym zespole czterech indywidual- ności, z których każda chciała mieć decydujący wpływ na o- gólny kształt wykonywanej muzyki, nie sprzyjało wcale trwałości ansambli i musiało z czasem doprowadzić do roz- łamu. Przy najbliższym nada- rzającym się wyjeździe do USA, dokładnie w dwa lata

od daty założenia grupy, opu- ścił ją jako pierwszy gitarzysta Barta. Nieco później w jego ślady poszedł również niespo- kojny twórca, wybitny basi- sta, kompozytor, aranżer i nie- zły impresario zarazem, Karo-

ly Frenreisz (dzisiejszy szef „Skorpion”). Natomiast w lip- cu ub. roku ubył trzeci z za- łożycieli, perkusista József Laux, pełniący dotąd obowią- zki szefa kapeli. Wydawać by się mogło, iż los już został



Odmłodzony Locomotiv GT.

przesądzony i sława „LGT” o- dejdzie bezpowrotnie w cień. Stałoby się tak być może, gdy- by nie Gabor Presser — orga- nista, kompozytor, aranżer, au- tor tekstów, akustyk i w ogóle muzyk niezastąpiony. W prze- ciągu kilku miesięcy zdołał nie tylko uporać się z nekajęcymi „Locomotiv” kłopotami perso- nalnymi, ale też udowodnił, że zespół bynajmniej nie złożył broni i nadal potrafi zaskaki- wać ciekawą muzyką. Bardzo krótki okres czasu pozwolił „LGT” nagrać trzy duże dys- ki (z przewagą kompozycji Pressera), z których każdy różni się zasadniczo klimatem, stylem prezentowanej muzyki i sposobem gry instrumentalis- tów. Ostatni z nich zatytuło- wany po prostu „Muzyka” po- jawił się w sprzedaży zupełnie niedawno. Jeśli spróbowa- libyśmy porównać z pierwszym wydawnictwem „Szczęśliwi ra- zem”, przekonaliśmy się, jak wielkie przeobrażenia na- stąpiły w samym podejściu do wypełniającego je tworzywa muzycznego. Cechą charakte- rystyczną „Locomotiv” było zawsze doskonale wycucie rynku. Kiedy królował hałaś- liwy heavy rock, kompozycje zespołu epatowały słuchaczy ostrą pracą sekcji rytmicznej i preparowanymi przy pomocy boosterów solówkami gitary, później kiedy przyszła moda na jazz-rock, w utworach „LGT” dominowała soczysta barwa saksofonów i kryształo- we tony pianina Fendera — przy wyciszaniu gitary na rzecz niespokojnych pochodów basu. Z kolei ze zmianą upo- dobań na elektronikę i instru- menty klawiszowe do głosu doszły clavinety, ARP-y, mo- dulatory dźwięku, przeróżne odmiany synti i mooga, wśród których wyżywał się, niewi- docznie zza klawiatury, Pres- ser.

Ostatni album „Locomotiv” różni się zasadniczo od wszy- stkich poprzednich wydaw- nictw. Elektronika zlikwidowa- na została do niezbędnego minimum na korzyść gitary klasycznej, a dominują na nim refleksyjne ballady i łagodne, pozornie mało skomplikowane, melodie w stylu sweet. Jest to płyta bardziej relaksowa, gdzie zamiast ośnieżających słu- chacza efektów akustyczno-

brzmieniowych liczy się bar- dziej pełna harmonia i finezja gry całej czwórki. Odbiorca wyczuwa doskonale radość ich wspólnego muzykowania, jego lekkość i swobodę, jaką rzad- ko daje się osiągnąć w studio. Wymaga to bowiem wielu lat współpracy partnerów oraz ich wzajemnej korespondencji e- mocjonalno - muzycznej. A tymczasem grupa grała w tym składzie zaledwie trzy miesia- ce, zanim zdecydowano się na nagrania w „Pepicie”.

„Locomotiv GT” położył szereg autentycznych zasług dla rozwoju węgierskiego rocka w jego najbardziej burzliwym o- kresie. Jak na prawdziwą lo- komotywę przystało, był zawa- sze siłą napędową tego nurtu, przecierał nowe szlaki w świe- cie elektrycznych dźwięków gitar. Przecież to właśnie mu- zycy „LGT” wystawili wspólnie z aktorami budzińskiego Teatru Rozrywki pierwszą na Węgrzech rock-operę, opartą na tekście znakomitego pisa- rza Tibora Dery.

„Zmyślony raport z pewnego festiwalu muzyki pop”, bo taki długi tytuł nosiło to barwne widowisko, doczekał się blisko dziesięciu recenzji i wiele świetnych recenzji. Toteż w ślad za pierwszą pojawiła się druga opera Pressera i Anny Adamis „Mam 30 lat”, wysta- wiona na tej samej scenie z uroczystej okazji jubileuszu Węgierskiej Republiki Ludo- wej.

Gabor Presser należy dziś do grona najwybitniejszych kompozytorów muzyki rozry- kowej i za swą działalność otr-zymał w roku ubiegłym nagrodę państwową WRL. Nie- spożyta energia i autentyczny talent tego muzyka pozwalają wierzyć, iż o jego sukcesach będziemy mogli mówić jeszcze niejedną raz. Do tej pory wspomagał on swymi kompo- zycjami Saroltę Zalattay i Kati Kovacs, a ostatnio na- wiazał obiecującą współpracę z Zoranem Satevanovity (by- łym solistą Metra) owocującą już pierwszą bardzo interesu- jącą płytą „Zoran”. Tymcza- sem przygotowywany jest ko- lejny album.

Kamena str. 5

Coś nareszcie dzieje się!



Fot. Zbigniew Jaśkiewicz

KIEDY zaprzężone w konie wozy strażackie z hukiem i turkotem zajęły na rynek kazimierski, a następnie załogi wozów, ubrane w tradycyjne stroje z nieodłącznymi kaskami, przystąpiły do gaszenia pozorowanego pożaru — to była potęga! Wozy i historyczne wyposażenie wróciły potem do Muzeum Pamiątek Pożarnictwa, otwartego w Kazimierzu Dolnym z okazji Ogólnopolskiego Festynu Ludowo - Strażackiego (27—28 V br.).

Tegoroczny Festyn, trzeci już z kolei, odbywał się pod hasłem: „Wspólnie tworzymy — wspólnie

chronimy” i łączył cechy ludowej zabawy, gminnego widowiska, pełnego tańców, koncertów estradowych, a zarazem dostarczał rzetelnej informacji o warunkach działania i zadaniach straży pożarnej w PRL. Towarzyszyła mu wystawa nowoczesnego sprzętu pożarniczego, gdzie każdy mógł się przekonać naocznie, jaki w dziedzinie pożarnictwa istnieje postęp obecnie.

Z okazji Festynu plk Tadeusz Strzelecki, Komendant Wojewódzkiej Straży Pożarnej w Lublinie, powiedział: „W ogólnokrajowym bilansie palności oraz wynikach podejmowanych przedsięwzięć województwo lubelskie posiada znaczne osiągnięcia. Na przykład za 1976 rok uzyskaliśmy wyniki lepsze od 31 innych województw

w kraju. Mimo to o pożarach należy mówić zawsze z największą troską i podejmować wszelkie możliwe przedsięwzięcia dla ich ograniczenia, bowiem stanowią one niezwykle groźne społecznie zjawisko”.

Impreza w Kazimierzu stanowiła bardzo dobre pod względem propagandowym rozwinięcie tej myśli. A Maria Kunciewiczowa, przyglądająca się Festynowi, w wywiadzie dla radia żartobliwie wyznała, że ona musi żyć dobrze ze strażą pożarną, ponieważ posiada dom drewniany, z natury rzeczy podatny na niebezpieczeństwo pożarów, więc Festyn kazimierski bliski jej sercu.

— Świat marnieje, jeśli by sędzić po poziomie X Festiwalu Pieśń o Ojczyznę w Kraśniku. W kategorii solistów żadnych nagród nie przyznano. W kategorii zespołów wokalnych i wokaino-instrumentalnych pierwszej i drugiej nagrody nie przyznano. Festiwal kosztuje milion złotych i jakie zeń płyną korzyści dla miasta? — z tą kwestią zwracam się do naczelnika Stanisława Duszyca.

— Korzyści są ogromne i nieprzeliczalne na pieniądze. Bo jak wymierzyć aktywizację kulturalną społeczności, która przywykła do tej imprezy, będącej gwoździem programu kulturalnego w mieście? No i proszę pamiętać, że gdyby nie festiwal ogólni, to może tak szybko byśmy się nie dorobili amfiteatru.

— Na amfiteatry była kiedyś moda we wszystkich miastach powiatowych, ale ponieważ nie było mody na nowe domy kultury, więc na przykład wasza placówka pracuje w warunkach raczej żenujących, choć szumnie się nazywa Kraśnickim Ośrodkiem Kultury.

— Cały budżet miasta wynosi około 60 milionów złotych, z czego na kulturę przeznaczamy przeszło 2,5 miliona. Może by nam pan zbudował w ramach tej kwoty nowy dom kultury? Szkoda, że nie ma mody na cudotwórców!

— Skoro festiwal kosztuje milion, to nawet cudotwórca by nie pomógł.

— Milion, ale tylko część środków płynie z budżetu miasta, resztę dokłada wojewoda, CRZZ,

Festiwal

i życie

miasta

WRZZ i resort kultury. Przedsiębiorstwa już nie łożą, bo nie mogą w świetle nowych przepisów, tylko świadczyć pomoc rzeczową, dekoracje i tym podobne.

— Jak się odbywa festiwal, to hotel „Saturn” oraz internaty trzeszczą w szwach. Nie z powodu jakichś zberezeństw, lecz ciasnoty. Czy nie przydałby się nowy, hotel Kraśnikowi, miastu ponad trzydziestotysięcznemu?

— Przydałby się, i pokładamy nadzieję w budowie centralnej kulkowni dla przemysłu łożyskowego, której uruchomienie przewiduje się w roku przyszłym...

— To w kulkowni będzie się mieszkać?

— Bez żartów, myślę o inwestycjach towarzyszących. Iżąc zresztą także na budowę zakładów przetwórstwa owocowo-warzywnego, o co zabiegamy. Przemysł, jak panu wiadomo, jest miastotwórczy, powstają prz. okazji przedszkola, mieszkania, ulice, rozwija się handel, gastronomia, usługi.

— Wiadomo mi. Ale słyszałem, że w czasie festiwalu zabrakło wody w mieście. Czy zna pan pilniejsze niż festiwal potrzeby Kraśnika?

— Znam.

— Na przykład?

— Gospodarka komunalna, aczkolwiek co ma tutaj do rzeczy festiwal?

— Ale gospodarka komunalna?

— Największy kłopot z kanalizacją. Niektóre główne ulice nie mają nawet kanałów burzowych, po deszczu stoją wielkie bajora, po zimie i wiosennych roztopach asfalt się rozłazi. Rozglądamy się za centralnym ujęciem wody i nową oczyszczalnią ścieków, ale to kwestia lat osiemdziesiątych.

— Dla nowych inwestycji jest ciężka atmosfera ostatnio.

— Jest ciężka. Są różne rozliczenia i rozmaite zasady prowadzenia budów, ale wszystko zmierza do jednego i żadne miasto nie może się wyrzec nowych inwestycji.

— Czyli stara sprawa. Buduje się nową inwestycję, która figuruje jako modernizacja.

— To pan jowiedział, nie ja.

— Długo się czeka w Kraśniku na mieszkanie?

— Sześć lat, aczkolwiek nadal potrzeby są duże. W tym roku oddamy 295 nowych mieszkań, bardzo dobrze nam się współpracuje z Lubelskim Przedsiębiorstwem Budownictwa Ogólnego. Ja bym powiedział, że gorsza niż z mieszkańcami jest sytuacja szkolnictwa. Już teraz potrzeba nam dwu nowych szkół, bo dwie z istniejących pracują na trzy zmiany. Taka to jest arytmetyka.

— Był pan poprzednio dyrektorem sporego przedsiębiorstwa. Czy dzisiaj więcej może dyrektor niż naczelnik?

— Szczerze mówiąc, jako dyrektor miałem większą swobodę decyzji. Ostatecznie dziś nawet wojewoda nie może zdecydować o budowie obiektu przekraczającego pięć milionów złotych.

— Czyżby obywateli Kraśnika najchętniej się zajmują po pracy, jeśli nie ma akurat festiwalu?

— Jest duży pęd do ogródków działkowych, w związku z czym przygotowujemy już nowe tereny.

60 LAT LICEUM W KRAŚNIKU

Ryszard Nowosad

W KRAŚNIKU — jednym z najstarszych miast południowej Lubelszczyzny — trwają przygotowania do obchodów 60-lecia Liceum Ogólnokształcącego nr 1 im. Gwardii Ludowej. Spośród 23 szkół w mieście liceum to jest najstarszą placówką oświatową. Jego mury do chwili obecnej opuściło 2420 absolwentów, z których wielu zajmuje eksponowane i cenione społecznie stanowiska. W tej liczbie jest 134 nauczycieli, 109 lekarzy, 50 inżynierów, 40 prawników, 34 pracowników naukowych wyższych uczelni.

Początki kraśnickiego liceum sięgają okresu pierwszej wojny światowej. W 1915 r. w wyniku ofensywy przeciw wojskom carskim, całą Lubelszczyznę zajęli Austriacy, którzy chcąc pozyskać sobie sympatię miejscowej ludności zgodzili się na tworzenie szkół polskich. Były to tzw. szkoły ludowe, które jednak nie zaspokajały ambicji spragnionego polskiej oświaty społeczeństwa kraśnickiego. W 1916 r. powołany w Kraśniku komitet organizacyjny (burmistrz — Tomasz Kołtun, kierownik szkoły — Władysław Pytlakowski, rolnik — Stanisław Osiniak) postawił sobie zadanie utworzenia szkoły średniej. Zabiegi komitetu zakończyły się powodzeniem dopiero po dwuletnim okresie starań. Nie czekając na oficjalne zezwolenie władz, na dwa miesiące przed odzyskaniem niepodległości, powołano 2 września 1918 r. Koedukacyjne Gimnazjum Matematyczno-Przyrodnicze. Była to szkoła prywatna, należąca do komitetu szkolnego utrzymująca się z opłat wnoszonych przez uczniów.

Poważnym problemem w zniszczonym przez wojnę Kraśniku było znalezienie lokalu. Naukę rozpoczęto w prywatnym domu Jana Gotnera przy ul. Kościuszki (dziś ośrodek zdrowia), potem, w wyniku starań komitetu szkolnego, ówczesny general-gubernator Kuk wyraził zgodę na przejęcie przez gimnazjum budynku poklasztornego, w którym mieściła się żandarmeria austriacka i biura magistratu. W okresie międzywojennym, przy dużej po-

mocy finansowej obywateli Kraśnika, dobudowano jeszcze jednopiętrowe skrzydło. Nie zaspokajało to potrzeb lokalowych szkoły ani wówczas, ani tym bardziej po drugiej wojnie światowej, gdy nauka stała się powszechna.

Dzisiaj młodzież liceum korzysta z całego zespołu nowoczesnych obiektów szkolnych wybudowanych w 1971 r. z inicjatywy byłych wychowanków, dysponując 18 specjalistycznymi pracowniami, świetlicą, salą gimnastyczną, asfaltowymi boiskami i internatem.

Pierwszym dyrektorem gimnazjum w Kraśniku był dr Kwiryn Szwacki, a w skład pierwszego grona profesorskiego wchodził: Pelagia Barska, Józef Drzewiecki, absolwentka College de France — Janina Bissenik, Maria Chalasiewicz, ks. dr Józef Scipio del Campo, Robert Iwicki. Pierwsi maturzyści w liczbie 21 składali egzamin dojrzałości w czerwcu 1925 r.

W połowie lat dwudziestych szkoła przeszła pod nadzór władz powiatowych w Janowie Lubelskim jako Gimnazjum Koedukacyjne Wydziału Powiatowego Sejmiku Janowskiego. Nie było to korzystne, gdyż w okresie kryzysu gospodarczego robiono oszczędności kosztem oświaty i niektóre szkoły zamykano. Między dwoma miasteczkami, Janowem i Kraśnikiem, trwał przez 8 lat spór o to, w którym z nich utrzymać szkołę średnią. Janów jako miasto powiatowe miał większe szanse. Ostatecznie jednak w 1932 r. gimnazjum przejął Zarząd Miejski w Kraśniku, a w 1937 r. — Towarzystwo Szkoły Średniej, któremu przewodniczył prawnik Zygmunt Machnowski.

Wybuch drugiej wojny światowej opóźnił rozpoczęcie roku szkolnego tylko o kilkanaście dni. Natychmiast po przesunięciu się frontu na wschód nauczyciele gimnazjum przystąpili do organizowania nauki, na co niechętnie patrzyły okupacyjne władze niemieckie. Wcześniej dały się odczuć w Kraśniku represje zmierzające do unicestwienia kultury polskiej i wyniszczenia kraju. 9 listopada 1939 r. Niemcy nakazali zamknięcie gimnazjum, zamieniając po-

klasztorną część budynku na więzienie.

Tego samego jednak dnia zebrała się rada pedagogiczna w celu omówienia dalszej pracy z młodzieżą i zabezpieczenia majątku szkoły.

Już na początku 1940 r. nawiązano kontakty z Tajną Organizacją Nauczycielską i powołano Powiatową Komisję Tajnego Nauczania w Kraśniku, której przewodniczącym został Mieczysław Kozłowski, a członkami: Henryk Brydak (późniejszy dyrektor gimnazjum) i Eustachy Maik. Gromadzono podręczniki, pomoce naukowe, ustalano tajne lokale i komplety uczniów.

Tę niebezpieczną działalność oświatową prowadzili z narażeniem życia: Stanisław Mankiewicz, Stefania Walknowska, Antonina Wilk, Stanisława Białosowa, Halina Muszyńska, Jan Peret i in. Działalność oświatowa promieniowała i na inne miejscowości, m. in. w Rzeczy Ziemiańskiej były uczeń gimnazjum w Kraśniku, działacz ruchu robotniczego, Aleksander Szymański, zorganizował komplet 15 uczniów.

W atmosferze radosnego podniecenia, ale w bardzo trudnych warunkach przystąpiono do organizowania nauki w sierpniu 1944 r. Brakowało wszystkiego: nauczycieli, lokalu, sprzętu, podręczników. Młodzież przynosiła krzesła z domu, podręcznik często był tylko jeden na klasę, bibliotekę szkolną kompletowano z darów mieszkańców Kraśnika. W tym pierwszym powojennym roku naukę podjęło w gimnazjum 280 uczniów, a wychowawcami poszczególnych oddziałów byli: Stefania Walk-

nowska, Maria Szubalska, Janina Wiro-Kiro, Irena Paciorek, Helena Filipowicz, Leon Janeczak i Antonina Wilk.

Wznowili działalność organizacje młodzieżowe, z których największe tradycje, sięgające 1918 r. ma harcerstwo. Jego założycielem i organizatorem był nauczyciel języka niemieckiego, Andrzej Mączka-Zyczynski. W połowie lat dwudziestych uczeń, a potem nauczyciel gimnazjum, Bolesław Kaczyński założył hufiec obejmujący swoim zasięgiem powiat Janowski i rejon Kraśnika. Z organizacji harcerskiej rekrutowało się wielu uczestników ruchu oporu w okresie drugiej wojny światowej. Po odzyskaniu niepodległości dłużejletnimi dżynowymi byli: Maria Byczewska, Aleksandra Sydor i absolwent gimnazjum, prawnik, Wiesław Kamiński.

Dzień dzisiejszy stawia przed szkołą nowe rozszerzone zadania. Liceum jest szkołą środowiskową, jej działalność kulturalna i społeczna ściśle powiązana jest z życiem miasta. Młodzież także utrzymuje stały kontakt z mieszkańcami pobliskiej wsi Karpiówka, odznaczonej za walkę z okupantem Krzyżem Grunwaldu. Za udział w konkursie „Klub Otwartych Szkół” otrzymała dwukrotnie nagrodę Ministra Oświaty i Wychowania.

Największym osiągnięciem szkoły jest to, iż jej uczniowie docierają do centralnych szczebli olimpiad przedmiotowych z języka polskiego, biologii, geografii i historii, oraz fakt, że ponad 80 proc. absolwentów kontynuuje dalszą naukę.



Dyrektor liceum mgr Jan Wójcik wręcza dyplomy młodzieżowym instruktorom ZIIP

Henryk Kozak

ULICA HUTNICZA — ZMIERZCH

O zmierschu pustoszeją nagle
plac zabaw
i plac zebrań
zatroskane kobiety wynoszą z mieszkań
wypełnionych szczerze
mężami i dziećmi
resztki obiadów
pozdrowiają się śpiesznie
ciężko wchodzą na schody

za zasłoniętymi oknami noc dojrzeła
milknie radio
plac dzieci
a przestrzeń pomiędzy czterema ścianami
bierze w swe posiadanie
budzik nastawiony na szóstą

dozorcy zapalają żarówki przed blokami
światło wyplasa chuliganów
odchodzą powoli i nagle
wzmaga się piskliwy śmiech dziewczym

w ciemnym oknie za firankami staruszka
patrzy na rozświetlane nocne miasto
nikogo nie obchodzi jej rozpacz

ULICA HUTNICZA — NOC

Już północ i jesień
ulica jest chłodna i pusta
latarnie ledwie tlą się
a jeśli nie przestanie padać zgasną

nagle otwierają się drzwi ciemnej
stróżówki na placu PKS
i wychodzi
w białym przeciwdeszczowym płaszczu
młoda kobieta

nigdy jej tutaj nie widziałem

przystaje pod moim oświetlonym oknem
poprawia spódniczkę
podciąga rajstopy

zawstydzony kryje się za firankę
gaszę światło
do rana nie mogę zapomnieć
jej oczu

ZAPROSZENIE

Jestem samotna i biedna ale wejdź,
pokażę ci okno
jest to okno najzwyklejsze na świecie
lecz nic i nikogo
przez nie
nie wypatrzysz
pokażę ci też drzwi do których
już nikt nie puka
ściany chore i opuszczone
wystygłe łóżko
krzesła

wejdź
powiesz mi jak wtedy
że mnie kochasz
i że wciąż jestem dobra
i piękna

Wiersze pochodzą z tomiku „Podróż do źródeł”, który ukaże się w bieżącym roku nakładem Państwowego Wydawnictwa „Iskry” w Warszawie

Tadeusz Jasiński

NA NARODZINY WNUKA

I oto jestem dziadkiem!
Nadeszło, co stać się musiało.
Miłość oblekła się w ciało,
w gwiazdy pod czołem gładkim!

Oto wnuk się urodził,
mały — zakodowany żołędź.
I wciąż jeszcze nie umiem pojąć,
jakże on będzie chodzić,

jakże on będzie ruszać
rączkami, jak chyże wiosła,
by słonecznych promieni dostać,
córki mej sercem wzruszyć.

O czym będzie gaworzyć,
rozprawać niezrozumiale?
Co kiedyś wykrzyczy zuchwale?
— Tej chwili pragnę dożyć!

Skibę pomorską pradziadka
niech dobrze zapamięta,
a baśń o stolymach, kraśniętach
rzewnie wyśpiewa mu babka.

Dębeczak, wnet dąb wystrzeli
ponad koronki kołyski,
nieboskon mu będzie za niski,
puer noster in coelis!

Tęgi wnuk nam wyrośnie,
ponad wysnzione nadzieje,
ach, jemu dopiero dziś dnieje,
świat mu otworzymy na oścież!

Drogi do niepodległości

Dokończenie ze str. 1

JERZY KUNCEWICZ: Przede wszystkim — atmosfera gorącego patriotyzmu, w jakiej wzrastaliśmy w naszych domach. A z tego wynikało szukanie wiary w siły, które marzenia o niepodległości zdolne będą zrealizować. Dość wcześnie zrozumieliśmy, że nieodwołalnie nadchodzi nowa epoka i chociaż wielu z nas wyrastało z tradycji ziemiańskiej, czy też mieszczańskiej, zdawaliśmy sobie sprawę, że marzenia o niepodległości nie urzeczywistnią się bez oparcia o szerokie masy społeczne. Już w latach szkolnych wierzyłem, że w chłopie kryje się szczególna siła, która pozwoli wywalczyć niepodległość. No i zdawałem sobie sprawę z niesprawiedliwości społecznej. To mnie miało w przyszłości skierować na drogę ruchu ludowego.

Nie bez znaczenia były tradycje rodzinne, dziedziczne cechy, względnie osobowościowe, charakterologiczne. Np. w moim przypadku już samo pochodzenie litewsko-ruskie ojca, a matki — koroniarz, rzutowało na chęć narodowego i patriotycznego samookreślenia się. Może dlatego już we wczesnym dzieciństwie tak wielkie wrażenie wywarł na mnie oglądany w klasztorze Bernardynów w Solcu nad Wisłą dawny herb Rzeczypospolitej — z Orłem, Pogonią i Aniołem. Ojciec mojej matki, Cecylii z Wyswskich, ostatni natron Trybunału Lubelskiego, był z zawodu adwokatem; również jego ojciec, czyli mój pradziad, był adwokatem w Lublinie i pewnie dlatego też i ja w końcu poświęciłem się adwokatowi. Ale byli też Wyszwicki wołownikami; jeden z nich, podsekretarz podlaski (także — sędzia, prawnik!) chodził z Sobieskim pod Wiedeń...

M.D.: A Kuncewicze?

JERZY KUNCEWICZ: O, po nich wziąłem niespokojność ducha! Dziadek mieszkał już wprawdzie w Zamościu, a ojciec gospodarował na Jakubówce na Rurach Wyzytkowskich pod Lublinem, gdzie ja się urodziłem, ale Kuncewicze wywodzą się z Białej Rusi. Tych nosiło po świecie! Na przykład jeden z Kuncewiczów, zesłany za udział w Powstaniu Styczniowym na Sybir, przedostał się na Alaskę, a następnie walczył w randze pułkownika w armii Stanów Zjednoczonych podczas wojny z Meksykiem. Jak byłem po raz pierwszy w Ameryce w 1935 r., zdobyłem nawet adres jego żony, ale jakoś się w końcu nie spotkaliśmy. Nawiasem mówiąc,

mieszkała w stanie Virginia, tam gdzie teraz gospodarzy mój syn, Witold.

A weźmy takiego Józefa Kuncewicza (choć to żaden krewniak, tylko zbliżność nazwisk), arcybiskupa witebsko-smoleńskiego, pierwszego unickiego, ukamienowanego za wiarę, kanonizowanego pod koniec XIX stulecia... Już same opowieści o tych niezwykłych, „rodziny” i „nierodzinnych” Kuncewiczach musiały mieć wpływ na kształtowanie się mojego trochę romantycznego spojrzenia na świat. Ale znowu: rolnicze zajęcie ojca, który zresztą później, po stracie Jakubówki, pracował w Strzyżowie jako inspektor plantacji buraczanych, no i prawnicze tradycje „po kądzieli” — pozwoliły mi patrzeć na świat realistycznie.

M.D.: Wcześniej zaangażował się pan w działalność patriotyczną?

JERZY KUNCEWICZ: Bardzo wcześnie. W 1903 r. Miałem wtedy dziesięć lat, mieszkałem w Hrubieszowie u ciotki Aleksandrowiczowej, żony pisarza hipotecznego, i zostałem właśnie przyjęty do pierwszej klasy tamtejszego progimnazjum... Przykleiłem na miejskim słupie ogłoszeniowym rodzaj odezwy do rodaków, wypisanej zresztą okropnymi kufionami; coś tam przeciwko wojnie japońskiej i Rosjanom. Złapał mnie na tym strażnik i zaprowadził do sędziego Hofmana. Czulem się bohaterem. A Hofman wyrzucił mnie po prostu z gabinetu: „Idź do ciotki i opowiedz jej, co zrobiłeś”. Tak się zakończył mój pierwszy polityczny występ.

Ale prawdę mówiąc, właściwe początki edukacji politycznej to udział w strajku szkolnym w Lublinie, w 1905 r. Byłem już wówczas uczniem „handlowki” założonej przez Vetterów przy ówczesnej ulicy Bernardyńskiej. To było ogromne przeżycie. Poczuliśmy, że jesteśmy siłą, która nie tak łatwo opowiadać, z którą trzeba się liczyć. Wśród przywódców — trójki szkolnego znajdował się mój kuzyn, Kazimierz Wyszwicki, poza tym — Edmund Kłopotowski, Czesław (?) Siwecki i Henryk Orłowski. Na zebrania organizacyjne przyjeżdżali delegaci warszawskiej młodzieży szkolnej — Kozielewski i Graf. Przeciwno strajkowi opowiedziała się Narodowa Demokracja i za to Roman Dmowski został obity w Warszawie przez uczniów. W Lublinie też nie przebiegało w środziskach: wybijałszy szyby w gimnazjum rosyjskim przy ul. Namieśnikowskiej (obecnie — Narutowicza), dostał po mordzie polski nauczyciel Belczyk, który nie przerwał

wykładów w rosyjskiej szkole, poszły w kawałki szyby w witrynach magazynu obuwniczego Kwiecińskiego przy ul. Królewskiej, którego syn uczęszczał nadal do Pierwej Lublińskiej Gimnazji... W końcu wywalczyliśmy polską szkołę, powstał m. in. „Staszyc”, do którego zacząłem uczęszczać i ja.

Powstawały i rozrastały się bardzo prężnie młodzieżowe organizacje patriotyczne. Należałem do „Petu” i wkrótce zostałem starszym koła „petowego”. W latach 1906—1911 do najbardziej aktywnych członków organizacji należeli — Antoni Chamiec, Maria Krzyżkowska (pochodząca z Hrubieszowa), Lucjan Węgliński, Stefan Mydlarz, Mikołaj Pajdowski (zapalony turysta i jeszcze po II wojnie aktywny działacz lubelskiego PTTK), Kazimierz Brzeziński oraz dwie siostry Brenajzen. Potem, już w latach wojny światowej, dołączyli do nich Ewa Szelburg (późniejsza znana pisarka Szelburg-Zarembina) z Należczowa, Zybs, Jankowska.

M.D.: No dobrze, ale jak pan przy tej ożywionej działalności organizacyjnej godził politykę z nauką?

JERZY KUNCEWICZ: Proszę pana, prawdę mówiąc to ja w szkole wcale nie lubiłem się uczyć. Ja się interesowałem w szkole nauką o tyle, o ile wiązała się z polityką. Wydawali nam w szkole własne piśmiotki odbijane na szapirografie, pomiędzy kołami „petowymi”, między młodzieżą szkolną krążyły ulotki i piśmiotki niepodległościowe, które kolportowaliśmy. A odbiorców było niemało. Samych tylko polskich szkół było w Lublinie pięć: Szkoła Lubelska, „Staszyc”, Szkoła Handlowa i dwie pensje — Latosińskiej-Kunickiej oraz Arciszowej. Praca zaczęła się robić naprawdę niebezpieczna, niekiedy z nas trafili do więzienia na Zamku. Mnie raz tylko ogromne szczęście pozwoliło na pozbycie się ukradkiew przenoszonej „bibuły” i uniknięcie aresztowania.

W 1910 r. pojechałem razem z kolegą Lillienfeldem na Zjazd Grunwaldzki do Krakowa jako delegat lubelskiej młodzieży szkolnej. I w tym naszym wyborze ujawniły się postępowe porządki i przekonania tutejszego środowiska: odnieśliśmy zwycięstwo nad kontrkandydatem Ligockim, który reprezentował zachowawczo myślącą młodzież ziemiańską.

Oczywiście, ja tutaj mówię ciągle o tej młodzieży, z którą miałem najbliższy kontakt. Istniały przecież wtedy w Lublinie grupy młodzieży socjalistycznej, bardziej i mniej lewicowej, istniały inne organizacje... Ale nie zawsze o sobie wiedzieliśmy. Poznałem na przykład kilkunastoletniego chłopca, który często zachodził na teren posesji znajdującej się przy Krakowskim Przedmieściu, zaraz przed wejściem do Ogrodu Saskiego. Nie było tam obecnej kamienicy tylko wielki ogród, a w jego środku parterowy dom, który wynajmowaliśmy. Chodziliśmy często z tym chłopcem na maliny. Był chyba ze dwa lata starszy ode mnie i nazywał się... Bolesław Bierut.

M.D.: Bolesław Bierut zethnął się już wówczas z ideami socjalistycznymi, a wkrótce miał spotkać w Lublinie Jana Hempła, który wywarł wielki wpływ na rozwój jego osobowości... A po latach został pierwszym prezydentem Polski Ludowej.

JERZY KUNCEWICZ: Nie przypominam sobie żebyśmy wtedy prowadzili jakieś rozmowy poważniejszej natury. Zresztą, było lato, wakacje i wkrótce wyjechałem jak zwykle na Podlasie, gdzie razem z Mikołajem Pajdowskim i inżynierem Wójcikiem krążyliśmy po wsiach prowadząc agitację patriotyczno-niepodległościową i zakładając koła ludowe, których członkowie za jeden z głównych celów stawiali sobie wyzwolenie Ojczyzny. Bazę wypadową znaleźliśmy w Urzędowie, gdzie rodzice Pajdowskiego mieli dom i gospodarstwo. Te nasze koła miały się stać w późniejszych latach ogniskami rozwoju Stronnictwa Ludowego...

M.D.: Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”?

JERZY KUNCEWICZ: Myśmy wówczas mówili po prostu o Stronnictwie Ludowym. PSL „Wyzwolenie” to nazwa późniejsza, myślę że chodziło o określenie się wobec witosowskiego „Piasta”... O którym zresztą w początkowym okresie naszej działalności wiedzieliśmy nie tak znowu wiele. Oni działali w zaborze austriackim, w zupełnie innych warunkach, my — w „rosyjskiej” Kongresówce.

Ale wracając jeszcze do czasów szkolnych, to muszę wspomnieć o swoim pierwszym popisie oratorskim — a umiejętność przemawiania jest niezbędną w robocie politycznej — który ocenił i... docenił nie byle kto, bo późniejszy generał Związku Radzieckiego, Mikołaj Krylenko. Przed pierwszą wojną, praporszczyk zapasa Krylenko wykladał w lubelskich szkołach średnich historię powszechną i historię Rosji. Lubiliśmy go, bo był człowiekiem kulturalnym, o szerokich horyzontach, sprzyjał Polakom i odznaczał się dowcipem. Kiedyś wyrwał mnie do odpowiedzi na temat Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Mówiłem długo, odważnie i z wielką swadą, a kiedy wreszcie skończyłem, Krylenko oświadczył: „Znanijsze — jedynica, chrabrost’ — piątka”. To znaczy: za wiadomości — piątka, za „męstwo” z jakim podjąłem się odpowiedzi — piątka. Spotkałem go po latach w Moskwie, w 1932 r., gdzie był generalnym prokuratorem.

W 1910—1911 r. zacząłem drukować w miejscowej prasie pierwsze młodzieżowe utwory literackie i artykuły, podpisując je kryptonimem: „K-wicz”. To był załączek mojej przyszłej pracy pisarskiej. Tyle, że wkrótce musiałem rzucić wszystko i uciekać z kraju, bo zostałem zadenuncjowany przed władzami carskimi...

M.D.: Przez funkcjonariusza tajnej policji?

JERZY KUNCEWICZ: Gorzej. Przez pewnego młodego lubelskiego poetę.

OPOSTĘPIE cywilizacyjnym w naszym kraju nieźle świadczy ruch wokół organizacji skansenów budownictwa ludowego. 19 takich muzeów już przyjmuje publiczność, kilka następnym funkcjonuje w sferze idei, która niedługo winna doczekać się realizacji, albo jest materializowana.

Mówi się, że za 12 lat będziemy mieli niemal 50 takich obiektów.

Kiedy Polska była biedna, a chłop pracował na ziemiańskim, o skansenach nie rozprawiano, co zrozumiale. Chałupy, obory czy olejarnie to były obiekty użytkowe, a przy tym niezbyt eleganckie, nie umywalące się do dworców lub małomiasteczko-

SKANSENY czyli



W Muzeum Wsi Lubelskiej stoi już 17 obiektów

Fot. J. Polski

wych kamieniczek sklepikarzy. Chłop nie lubił chałupy, bo codziennie uzmysławiała mu jego status społeczny i pochłaniała pieniądze, na przykład na latanie dachu, a ziemianin nie cenil, bo była rzeczą chamską. Inteligencja, owszem, uśmiechała się do wiatraków i kościółków modrzewiowych, bo tak nakazywała moda, wywodząca się z czasów Młodej Polski, ale nie posiadając środków oraz zdecydowania, poprzestawała na wzruszeniu estetycznym. Co prawda pierwszy skansen wzniesiono w Polsce już w 1906 roku, we Wdzydzach Kiszewskich, a drugi zaczęto organizować w trakcie pierwszej wojny światowej, w Nowogrodzie Łomżyńskim, ale były to efekty całkiem prywatnej inicjatywy ludzi dotkniętych tzw. chorobą regionalną, która i dziś tu i ówdzie występuje, choć już nie w postaci klinicznej. Muzeum typu skansenowskiego urządził w „chech” kaszubskiej Izidor Gulgowski, nauczyciel, który z żoną Teodozją, malarką, zgromadził sporo zabytków sztuki i kultury regionalnej tamtego terenu. W 1932 roku muzeum spaliło się zresztą; odbudowano je przed wybuchem drugiej wojny światowej. W Nowogro-

Przedostałem się nielegalnie przez granicę i oparłem się aż w Belgii, na uniwersytecie w Liege, gdzie zapisałem się na wydział fizyko-chemiczny. Takie ucieczki były zazwyczaj zorganizowane; w Lublinie pomocą dla przesładowanej młodzieży zajmowała się pani Zembruska.

Matka przysyłała mi miesięcznie 25 rubli; to było 66 franków belgijskich i wystarczało na skromne życie. Całkiem niezły obiad, w studenckiej garkuchni kosztował 90 centimów. Zresztą w czasie letnich wakacji pracowałem dorywczo w kopalni i to mi pomagało później podratowywać budżet.

W Liege była wówczas — w latach 1911—1914 — spora studencka kolonia polska, kilkuset Polaków z różnych zakonów. Większość związana z robotą konspiracyjną i „spalona” w kraju. Wykształcili się tam m.in. późniejsi generałowie: Młot-Fijałkowski, Luczynski, Rudolf Dreszer i jego brat Gustaw Orlicz-Dreszer. Działały organizacje niepodległościowe: „Zjednoczenie”, „Promień” (o tendencjach socjalistycznych), no i „Strzelec” grupujący około 300 mężczyzn i kobiet, do którego zaraz wstąpiłem. Odbywaliśmy częste manewry pod Liege, lub forsowne marsze do Vervier, a ćwiczył nas oficer belgijski. Przyjeżdżało mnóstwo ludzi ze świata i z kraju; tam m.in. zobaczyłem Józefa Piłsudskiego, który miał odczyt o niepodległości i przyszłym państwie polskim.

Mówiłem już o swoich zdolnościach oratorskich... W Liege, po jednym ze studenckich zebrań, podczas którego długo i z zapałem wykladałem swoje racje, podszedł do mnie dość niepozorny, młodo wyglądający człowiek i zaprosił na wspólną, skromną kolację. Był w Liege przejazdem z Paryża i zainteresował go mój sposób przemawiania. Przedstawił się: „Bronsztajn jestem”, „Kuncewicz jestem” — odparłem i poszedłem z nim na tę kolację, nie wiedząc, że mam do czynienia z... Trockim.

Kiedy wybuchła wojna i powstały Legiony, ogłosiliśmy w Liege wśród Polaków mobilizację i ja się zgłosiłem w imieniu kolegów do Niemców, którzy już wtedy okupowali Belgię. Ale Niemcy potraktowali mnie jako dywersanta. I zamiast do Legionów pojechałem do więzienia w Akwizgranie, a następnie do obozu jenieckiego. Siedziałem tam do wiosny 1916 r. i wyszedłem tylko na skutek interwencji szefa austriackiej policji wojskowej w Lublinie, Krzyżanowskiego (bo już Lublin znajdował się pod okupacją austriacką), którego żona była z domu Kuncewiczówna, i do której jakoś dotarła moja matka. Więc widzi pan, że nie przesadzałem, kiedy mówiłem, że Kuncewicze są rozsiani szeroko po świecie...

M.D.: I to był pierwszy pański powrót ze świata na Lubelszczyznę...

JERZY KUNCEWICZ: Tak — dokładnie 13 kwietnia 1916 r. Byłem wy-

nedźniały, zagłodzony i bez pracy. Zresztą pracę znalazłem niemal błyskawicznie. Ksiądz Gostyński, dyrektor ówczesnej Szkoły Realnej przy ul. Ogródowej — dzisiejsze Liceum im. Jana Zamojskiego, — dowiedziawszy się, że przyjechał do Lublina taki jeden, co studiował w Belgii fizykę i chemię, zaangażował mnie zaraz u siebie. Tak zacząłem jedną ze swoich karier: nauczycielską.

M.D.: To bardzo trudna kariera...

JERZY KUNCEWICZ: Nie wiem, czy kariera, bo jej długo nie robiłem, ale zawód nauczyciela jest trudny. Szczególnie był trudny w czasach powojennych, kiedy się miało do czynienia z uczniami, którzy w czasie wakacji otrzaskali się z życiem na froncie. W klasie było kilkudziesięciu dryblasów niewiele młodszych ode mnie, niektórzy nosili jeszcze oficerskie mundury, a na nich odznaczenia... I wychowuj tu takich! Jak wystawili dla kawala na drugim piętrze za okno księdza Gostyńskiego, nie można im było żadną



Jerzy Kuncewicz

Fot. L. Leo

mlarą wytłumaczyć, że w ten sposób podrywa się autorytet dyrektora... Szczególnie jednego z nich zapamiętałem: Wacław Gralewski. W późniejszych latach znany w Lublinie dziennikarz, w ostatnich latach życia związany też przecież z waszą „Kamienią”. Co ja z nim miałem! Ale lubiliśmy się. Kiedy na początku lat sześćdziesiątych przyjechałem do Polski, przywiózł mi do Kazimierza naszą wspólną fotografię z tamtych czasów...

To powrocie do Lublina w 1916 r., czując się żołnierzem Legionów, poszedłem zaraz zameldować się do władz wojskowych. Lublin był wtedy bardzo silnym ośrodkiem myśli niepodległościowej, po ulicach kręcili się żołnierze z orłami na czapkach, pracowali pełną parą urzędy organów niepodległościowych. Większość z nich mieściła się przy obecnej ulicy Narutowicza, w budynkach klasztoru powiatykowski, tam, gdzie dzisiaj jest Muzeum Czecho-wicza. Oświadczone mi, że pobór do Legionów został wstrzymany i skierowano do Wydziału Narodowego, mającego siedzibę przy Krakowskim Przedmieściu, gdzieś w okolicach ulicy Krótkiej. Urzędowali tam dwaj panowie w średnim wieku — Szczepański oraz Satornin Osiński, z zawodu kupiec, zarządzający sklepem towarów lokalnych Rydygiera przy Krakowskim Przedmieściu. Obydwaj byli obywatelami lubelskimi, prowadzącymi niezwykle aktywną robotę niepodległościową. Już wkrótce otrzymałem od nich pierwsze zadanie: miałem przemawiać na wiecu protestacyjnym przeciwko odezwie cesarza Austrii i Niemiec do Polaków. Wiec odbywał się na placu przed katedrą, przemawiano z balkonu kamienicy przy ul. Królewskiej, tej, w której dzisiaj mieści się antykwariat. A pod balkonem ustawiała się austriacka orkiestra wojskowa mająca za zadanie zagłuszać mówców. Byłem młody, głos miałem silny, wiec w ostatecznym rozrachunku to ja zagłuszyłem orkiestrę. Choć pod koniec przemówienia krew mi się rzuciła do gardła...

M.D.: A co z działalnością organizacyjno-polityczną, której tyle czasu poświęcił Pan w przedwojennym okresie lubelskim?

JERZY KUNCEWICZ: Właśnie do tego zmierzałem... W 1916 r. podjąłem ożywą działalność w organizacji „Zetowej”, ale potem oddałem się całkowicie sprawie ruchu ludowego i tworzenia podstaw ludowego stronnictwa na tym terenie. W tych dniach, kiedy byłem częstym gościem w siedzibie Wydziału Narodowego, spotkałem tam Aleksandra Bogusławskiego, dziennikarza pism warszawskich i działacza ludowego, którego znałem już przedtem z jego artykułów. Poznaliśmy się i szybko zaprzyjaźniliśmy, tym bardziej, że Bogusławski wiedział o mojej przedwojennej działalności w środowisku wiejskim na Lubelszczyźnie. Wkrótce już uczestniczyłem w zebraniu organizacyjnym stronnictwa, które miało reprezentować interesy ludności wiejskiej, szczególnie podkreślając w swoim programie problem odzyskania niepodległości. Zbieraliśmy się zazwyczaj w klasztorze przy ul. Świętoduskiej, w mieszkanku księdza Kościelniakowskiego: Aleksander Bogusławski, Kazimierz Babiński, Juliusz Poniatowski, ks. Kościelniakowski i ja. Tak to z końcem wiosny 1916 r. powstała pierwsza komórka ludowcowa na tym terenie.

W Lublinie wychodziło pismo „Polska Ludowa”, którego redaktorem naczel-

nym był Bogusławski, w redakcji działali m.in. Maria Dąbrowska, Jadwiga Marcinkowska i Zygmunt Różycki. Również ja pisywałem stale artykuły do „Polski Ludowej”, a nawet przez pewien czas, po wyjeździe Bogusławskiego do Warszawy, stanąłem na czele tego pisma. Nawiasem mówiąc, nie przypominam sobie żebyśmy kiedykolwiek otrzymali honorarium. Nie pamiętam też, by nawet w późniejszym okresie Rataj czy Wojciechowski dostawali jakkolwiek „wierszówkę”. Pisało się nie dla pieniędzy, ale ze względu na dobro sprawy i z patriotycznego, obywatelskiego obowiązku.

M.D.: W wydawnictwie — „Ruch Ludowy na Lubelszczyźnie” (Lublin, 1964) Józef Marszałek pisze o dynamicznym rozwoju Stronnictwa w latach 1916—1918...

JERZY KUNCEWICZ: Nie znam tego wydawnictwa, ale mogę potwierdzić, że ruch ludowy na terenie Lubelszczyzny rozwijał się z wielką siłą. To jeden z dowodów jak wielki ładunek patriotyzmu był nagromadzony na wsi polskiej.

Pierwszy zjazd Stronnictwa odbył się w połowie czerwca 1916 r., obradowano w budynku szkoły przy ul. Okopowej, kierowanej przez p. Barchana.

W połowie 1918 r., gdy opuszczałem Lublin przenosząc się do Warszawy, gdzie zaproponowano mi stanowisko naczelnika Wydziału Opieki nad Dziećmi i Młodzieżą w późniejszym Ministerstwie Opieki Społecznej, Stronnictwo było już silną i liczną organizacją. A przecież mogliśmy naszym członkom zapewnić co najwyżej... przesładowanie ze strony Austriaków! Kiedy 7 listopada 1918 r. powstał w Lublinie Tymczasowy Rząd Ludowy, w jego skład weszli ludowcy z PSL „Wyzwolenie”...

M.D.: W ankiecie nadesłanej ostatnio do lubelskiej Biblioteki im. H. Łopacińskiego w związku z opracowywanym tam słownikiem pisarzy związanych z Lubelszczyzną wymienia pan zawody: nauczyciel, adwokat, urzędnik, pisarz. Nie będę prosił o odpowiedź, który z nich uważa pan dla siebie za najważniejszy. Zwrócę jedynie uwagę, że będąc w zasadzie pisarzem-publicystą, w wieku sześćdziesięciu pięciu lat zaczął pan pisać sztuki dramatyczne, a w 1974 r., w kilkanaście lat później, wydał pan z kolei tom myśli filozoficznych: „Nieskończoność a rzeczywistość”. Książkę poświęconą odwiecznemu problemowi: co jest treścią i celem istnienia? Spytam więc tylko — wracając niejako do pierwszego w tej rozmowie pytania — co uważa pan w swoim życiu za najważniejsze, co było głównym motorem pańskiego życia?

JERZY KUNCEWICZ: Była nim stała próba zaspokojenia niepokoju. Dopóki istnieje — jestem niespokojny. Dopóki ciało pozwala mi szukać odpowiedzi — żyję.

Rozmawiał: Mirosław Derecki

OSEŁKA W HERBIE

Że koło skansenu krzątał się również pasjonat, regionalista i etnograf, Adam Chętnik, którego ciekawą postacią przedstawiła przed laty „Kamienią”.

Po roku 1944 sprawa ochrony ludowego budownictwa drewnianego znalazła się bez reszty w rękach specjalistów, którzy chadzając po gościach, coraz częściej bitych lub polewanych smółką, namawiali właścicieli chałup i wlatraków do opieki nad owym majątkiem kulturowym, który w nowych warunkach ustrojowych nosił wszelkie cechy symboli ideologicznych. Adresaci kiwali głowami ze zrozumieniem, a później, po uzyskaniu kredytów budowlanych, zbierali drewniaków na opał, wznosząc na ich miejscu okazałe kubatury murowane, tak standardowe, jak wyobrażenia naszych architektów, opracowujących katalogi typowych budynków wiejskich. Chłop chciał żyć wygodnie, wspinać się cywilizacyjnie, zasłużyć na uwagę prasy, radia, a później telewizji, to i murował. Ciekawe: te same publikatory alarmowały opinię publiczną, że z roku na rok glinie na wsi ludowe budownictwo drewniane, istotna komponenta naszego wiejskiego

pejzażu, co i eksponowały dobrych gospodarzy, którzy strzechy zastąpili eternitem, drewno — siporeksem lub cegłą. W samym funkcjonowaniu mass-mediów można znaleźć sporo ważnych przyczynków do dialektyki procesów społecznych. Ale jeszcze ciekawsze, że w całym powojennym okresie żadna z organizacji chłopskich nie wystąpiła w obronie wiadomej tradycji. Spółdzielczość wiejska, potentat ekonomiczny, wspierała różne zespoły folklorystyczne, urządziła konkursy dla plastyków ludowych, ale od idei skansenów czy innych form opieki nad architekturą ludową była daleka. Czy tylko dla tego, że utrzymywanie zespołu pieśni i tańca to sprawa daleko łatwiejsza i tańsza? Chyba nie. Rzecz w tym, że owa spółdzielczość miała nieść na wieś nowe: techniki, towary, metody produkcji, a może i nawet wyobrażenia o życiu szczęśliwym. Pośrednio, ale i bardziej frontalnie walczyła więc z wczorajszym, najmocniej utwierdzonym właśnie w tradycyjnym budownictwie mieszkaniowym, gospodarskim, w urządzeniach technicznych — które nie spełniały wymagań czasów elektryfikacji i mechanizacji. Stara kul-

tura materialna wsi to była rupieciarnia, hamująca postęp w rolnictwie. To przekonanie — pod względem ekonomicznym bezwzględnie słuszne — podzieliło również ludzi sprawujący władzę w instancjach administracji terenowej, którzy na dodatek już w drugiej połowie lat sześćdziesiątych zaczęli jakby wyzwać się z własnych biografii, najczęściej chłopskich, czego galanteryjnym przykładem może być moda na sygnety „herbowe” — atrybuty fałszywej świadomości — zdobiące palce ich potomstwa.

Mimo wszystko dorobiliśmy się 19 skansenów — ogromnym wysiłkiem konserwatorów zabytków, etnografów, historyków sztuki i działaczy regionalnych. W trakcie organizacji znajduje się kilka następnych, w tym Muzeum Wsi Lubelskiej, które posadowiło już 17 obiektów. Jak przed laty, wszystkie te placówki są na ogół efektem inicjatywy specjalistów, pasjonatów, regionalistów i częściowo Ministerstwa Kultury i Sztuki.

W ostatnim czasie coś się przecież w tej sferze zmieniło: z inicjatywnej organizacji parków etnograficznych nagminnie występują władze terenowe. Mówiąc krótko, każde województwo chce mieć dziś skansen na własnym terenie! O takim rozwoju sytuacji zadecydowały różne względy, w tym ekonomiczne, administracyjne i ambicjonalne (nowe województwa), ale także jak przebiegała wtaimnolegna, całkiem prosaizmie,

żeby nie powiedzieć — plaskie: zabytkowa karczma w skansenie może służyć jako oryginalne miejsce recepcyjne... Ale w moim przekonaniu źródła tego ruchu wokół skansenów tkwią znacznie głębiej, w sferze świadomości zbiorowej. Wyzwoleni z chłopskich biografii i ładnie dyplomowani noszą co prawda, jeszcze sygnety „herbowe”, ale ktoś tam już oprawił oselkę do kosy, służącą ojcu i dziadowi, i powiesił ją na honorowym miejscu swojego mieszkania w bloku. Inni — kupują chałupy wiejskie i zamieniają je na dace...

Wydaje się, że gwałtowny ruch wokół skansenów to przyczynek do sprawy wyzwalania się społeczeństwa polskiego z rozlicznych kompleksów i skromny dowód naszego rozwoju cywilizacyjnego: kraje biedne i słabo rozwinięte skansenów nie wznoszą.

IJK

P.S. Muzeum Budownictwa w Sanoku, gromadzące dziś 90 obiektów architektury (w przyszłości 200), świętowało w maju 20-lecie istnienia i takiej działalności, która wręcz zmusza mnie do złożenia szczernej instytucji serdecznych gratulacji. Tzw. kulminacyjnym punktem uroczystości lubelskich było pierwsze w Polsce Międzynarodowa Konferencja Skansenowa (27—30 maja br.), podczas której wygłoszono 23 referaty. Jeden z nich autorzywał Adelhart Zippelius, przewodniczący Europejskiego Związku Muzeów na Wolnym Powietrzu.

O festiwalu (1)

na zimno

Maria Bechcyc-Rudnicka

WSRÓD moich dobrych znajomych ludzi teatru krąży niewinny żarcik, jakobym jeździła na wszystkie festiwale teatralne w kraju i na poniekąd za granicę, nie zważając na mój ekstrazawansowany wiek. Mili żartownisie nieco przesadzają, albowiem spotkania rozlicznych teatrów tak się ostatnio w Polsce Ludowej rozmnożyły, że używając personifikacji rzec by można, iż deptają sobie po piętach, niekiedy zaś odbywają się nieomal symultanicznie. Faktem natomiast jest, że cieszy mnie każda nowa inicjatywa zorganizowania spotkań teatralnych, zwłaszcza w miastach posiadających tylko jeden teatr dramatyczny bądź całkiem go pozbawionych (przykład — Zamość, który wpadł na pomysł urządzenia „Zamojskiego Lata Teatralnego” na tle zabytkowego ratusza). A co do „jazdy”? Cóż, zdarzało mi się nieraz wybrać się do Kalisza, Rzeszowa, do Olsztyna, Zielonej Góry, Opola, kiedyś dotarłam do Wałbrzycha, niedawno ogłądałam z przyjemnością małe formy teatralne w szczecińskim Klubie „13 Muz”. Lecz w gruncie rzeczy mam kilka przetranszowanych szlaków „docelowych”, na których kursuję bardziej systematycznie. Poza częstymi dojazdami do mego rodzinnego miasta — Warszawy, które rzecz prosta nie wchodzi w rachubę, bywam co rok na spotkaniach teatrów zawodowych czy studenckich w Łodzi, w Jeleniej Górze, na sesjach w Gdańsku, szczególnie chętnie w Krakowie, na renomowanych festiwalach w Toruniu, we Wrocławiu...

Tak, i właśnie majowy XIX wrocławski Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych nasunął mi kilka niespokojnych myśli cisnących się teraz na papier.

Któż nie wie, że Wrocław jest siedzibą arcyświątyni Teatru-Laboratorium Grotowskiego, który wywarł przemożny wpływ na kształtowanie się nowego stylu w teatrach polskich? Ze jest siedzibą słynnego Kalambura, którego dyrektor, Bogusław Litwiniec, organizuje od r. 1967 międzynarodowe festiwale festiwalu teatrów studenckich tudzież niezinstytucjonalizowanych teatrów zawodowych i że festiwale owe stały się istną rewelacją jako głos postępu wyprzedzający się nie tylko za nowoczesnością formy, ale upominający się o sprawiedliwość społeczną i narodową, o godność człowieka? Powstaje tedy pytanie: dlaczego w tym mieście, bogatym w inicjatywy artystyczne wysokiej rangi, impreza tak ważna jak Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych, już dziewiętnasty z kolei, mimo całej dobrej wo-

li i energii wrocławskich organizatorów, nie spełnił do pewnego stopnia pokładanych w nim nadziei.

A zdarza się to niestety nie po raz pierwszy. W r. 1976, po festiwalu siedemnastym, odnotowałam, że nie można uważać za pomyślną sytuację, kiedy na reprezentacyjnej w zamierzeniu imprezie dramaturgiczno-teatralnej pełny sukces odnosi monodram („Maria” Iredyńskiego w wykonaniu Zofii Kucówny) plus impreza towarzysząca i zaledwie jedna konkursowa prezentacja pełnospektaklowa, monumentalna, natomiast wręcz niesmak wywołuje kilka spektakli, które znalazły się w programie festiwalu chyba przez niedopatrznie.

Nie zabrakło nieporozumień i na festiwalu następnym. A na aktualnym, XIX Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych (1972 r.) we Wrocławiu były coraz drażliwsze kwestie związane z realizacją owych sztuk na naszych scenach. Teatry bowiem lansowały (i nadal lansują) tezę rzekomej niewydolności współczesnej polskiej dramaturgii, gdy w istocie kłopoty wynikają z niedostatecznego jej wykorzystania przez reżyserów preferujących własne adaptacje i scenariusze, sporządzane przeważnie na bazie dzieł bezbronnych klasyków, dochodzą co prawda jeszcze inne powody przedłużające drogę polskiej sztuki współczesnej — zwłaszcza niemetaforycznej — na scenę. Dziś niewiele się pod tym względem zmieniło, a przecie sam „Dialog” przynosi corocznie spory zasób sztuk niby to „oczekiwanych” przez teatry.

Wydaje mi się nie ulegać wątpliwości, że przyczyny tych zawodów leżą głęboko i likwidacja ich przewyższa możliwości wrocławskich organizatorów.

Otóż przedmiotem obrad na konferencji XIII Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych (1972 r.) we Wrocławiu były coraz drażliwsze kwestie związane z realizacją owych sztuk na naszych scenach. Teatry bowiem lansowały (i nadal lansują) tezę rzekomej niewydolności współczesnej polskiej dramaturgii, gdy w istocie kłopoty wynikają z niedostatecznego jej wykorzystania przez reżyserów preferujących własne adaptacje i scenariusze, sporządzane przeważnie na bazie dzieł bezbronnych klasyków, dochodzą co prawda jeszcze inne powody przedłużające drogę polskiej sztuki współczesnej — zwłaszcza niemetaforycznej — na scenę. Dziś niewiele się pod tym względem zmieniło, a przecie sam „Dialog” przynosi corocznie spory zasób sztuk niby to „oczekiwanych” przez teatry.

Drugą przyczyną niedoborów atrakcyjnych przedstawień konkursowych na omawianych festiwalach mogą być z jednej strony jakieś niedociągnięcia w systemie kwalifikowania zgłoszonych pozycji, z drugiej — opieszałość teatrów prowincjonalnych nie zgłaszających swych udanych spektakli wskutek przecenienia terminów bądź niedopasowania do nich jakichś innych swoich zajęć, albo też z braku wiary w sukces w konkurencji z teatrami warszawskimi, krakowskimi, wrocławskimi, którym laury są jakby predestynowane. Taki był pn. obecnie casus lubelskiego Teat-

ru im. J. Osterwy, mającego w aktualnym repertuarze „Egzamin” Gawlika, doskonale wyreżyserowany przez Józefa Słotwińskiego, spektakl, który sam autor ocenił jako najlepszą, obok Dejmkowskiej realizację swej sztuki.

Przechodząc z kolei do konkretnych niedawnych festiwalu wrocławskiego, chciałabym zaznaczyć na wstępie, że za jeden z największych jego plusów uważam sesję teatrolologiczną „Teatr poetów”, poświęconą dramaturgii Tadeusza Różewicza. Głównymi filarami sesji były syntetyczne wykłady Konstantego Puzyny i Józefa Kelery. Trzeci referent, Henryk Vogler, nie dopisał, ściśle mówiąc — odpisał, że nie może podjąć zadania z powodu podróży zagranicznej.

Omawiając losy niektórych sztuk Różewicza na scenach polskich, przypomniał redaktor „Dialogu”, że „Kartoteka”, dziś już utwór klasyczny, była pierwszą propozycją dramaturgii otwartej. Autor pozostawił dla aktorów luzu, ale prapremierowa obsada (w warszawskim Teatrze Dramatycznym) nie umiała jeszcze ich wykorzystać. Bardzo pozytywnie natomiast ocenił K. Puzyna widziany przez niego w r. 1965 spektakl „Kartoteka” w interpretacji studentów włoskich z Genui. Studenci owi rozegrali sprawę na tle typowej uliczki włoskiej — niby to bohater nie ma gdzie mieszkać (dosłownie i metaforycznie). Chwycili oni propozycję „otwarcia” teatru.

la przed „Odejściem Głodomora”, lecz dotąd nie wystawiona (jej prapremiera ma się odbyć w jesieni na scenie warszawskiego Teatru na Woli). „Do piachu” jest już jakby „sztuką z bohaterem”, świadcząca korzystnie o weni autorstwa pisarza.

Z kolei Józef Kelera przedstawił syntezę wyników licznych swych badań nad twórczością dramatyczną autora „Kartoteki”, którego nurtuje, według trafnego określenia krytyka, problem funkcjonowania elementarnych wartości ludzkich we współczesnym świecie. *Ośrodkiem tej twórczości jest powieść Kelera, zagrożenie wartości elementarnych (i) sprawozdanych, bezdyskusyjnych. Stanowi ona jedną z niepokojących szans przeobrażenia świata. Perspektywa, z której Różewicz ukazuje fakty, zdarzenia jest perspektywą oddolną anonimowego mieszkańca wielkiego miasta.*

Interesującym głosem w rozmowie o Różewiczu była wypowiedź Kazimierza Brauna, który mówił m. in. o „głębokim zanurzeniu” pisarza we wszystkim, co się dzieje w różnych dziedzinach sztuk pięknych, szczególnie w plastyce. Nawijając do rozdzwiku między propozycjami autora a realizacją teatralną wyznał Braun, że reżyserzy po prostu nie mieli niekiedy ekwiwalentnych środków inscenizacyjnych. Częstokroć dochodziło się dopiero do pozycji, które Różewicz już opuścił.

Użyłam terminu „rozmowa”, bo wła-



Teatr Polski we Wrocławiu. Scena Kameralna. Tadeusz Różewicz — „Kartoteka”. Ewa Lejezak (Niemiecka Dziewczyna) i Zdzisław Kozień (Bohater) Fat. S. Arczyński

Przedstawienie zaczynało się i kończyło w sposób „rozmażany”, bliski stylowi Różewiczowskiemu.

Na pewno dobrze się stało, że krytyk o takim autorytecie zwrócił uwagę audytorium, w znacznej części młodzieżowego, na konflikt między propozycjami Tadeusza Różewicza a tym, co robi teatr. Toteż nie dziw, że Różewicz, który w pierwszym okresie twórczości dramatycznej zostawił coraz więcej miejsca dla ingerencji reżysera, w latach 70-tych zaczął wycofywać się z „teatru otwartego”. Przykładem — „Białe małżeństwo”, a zwłaszcza „Do piachu”, sztuka powsta-

ciwie głosów antagonistów Różewicza — dramaturgisty nie było. A może przydałby się jakiś ciekawy przeciwnik jego poetyki dramaturgicznej. Publiczne obalenie zarzutów malkontenta (zwłaszcza tych wynikających z fałszywej pruderii) przyczyniłoby się niechybnie do jeszcze większej popularności znakomitego pisarza.

O tym, jak uczczono Tadeusza Różewicza „w ramach” festiwalu na scenach wrocławskich — opowiem w następnym odcinku.

c.d.n.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 50 LATY

Województwo Lubelskie pod względem zarejestrowanych samochodów zajmuje dziesiąte miejsce, a co do ilości mieszkańców, jaka wypada na jeden samochód (1887) — siódme miejsce na ogół-

na liczbę 16 jednostek administracyjnych w państwie, jest więc pod tym względem jeszcze dość zacofane. Złożyło się na to zapewne wiele przyczyn, a w głównej mierze zły stan dróg, zwłaszcza w południowej części województwa. W ostatnich czasach władze państwowe oraz organy samorządowe podwoiły wysiłki, celem budowy i naprawy zniszczonych dróg przy czym ze względu na brak kamienia szlachetnego postanowiono wybudować szereg nowoczesnych wzorowych klinikierni, które łącznie z trzema już istniejącymi będą w stanie całkowicie zaspokoić potrzeby całego województwa i w wysokim stopniu przyczynia się do szybszego rozwoju ruchu samochodowego.

„Ziemia Lubelska”

● We wtorek i środę kontynuowała swoje prace komisja wodno-prawna, powołana do wydania opinii w sprawie spiętrzenia wody Bystrzycy w związku z zamotaniem wód przez śluzę młyną braci Krausse.

Komisja badała domy położone przy ulicach sąsiadujących z Bystrzycą, mając za zadanie stwierdzić na miejscu straty ponoszone na skutek spiętrzenia wody. Istotnie stan nieruchomości w tej dzielnicy jest opłakany. Ściany zawilgocone, podłogi gniją, właściciele są obowiązywani używać specjalnych pomp do usuwania wody, dla jej odnowadzenia buduje się specjalne studzienki. Niektórzy właściciele podnosili ten fakt, że ich nieruchomości

ci osiadają wobec silnego nawodnienia terenu. Zebrane fakty zostały poddane analizie na specjalnym posiedzeniu, gdzie złożyli oświadczenie rzeczoznawcy i inżynierowie wodni ze Lwowa. Wypowiedzieli oni zdanie, że wody Bystrzycy nie przynoszą żadnych strat właścicielom nieruchomości i nie pogarszają stanu sanitarnego dzielnicy miasta położonego nad Bystrzycą. Następnie składali opinię na piśmie przedstawiciele z Lublina, w której domagali się skasowania śluz i zastosowania dla braci Krausse innej siły a nie wodnej.

Na opinie rzeczoznawców z ramienia braci Krausse zgłosili sprzeciw przedstawiciele województwa. Zebrany materiał przez komisję wodno-prawną będzie rozpatrywany przez pana Wojewodę przy współudziale komisji wodnej.

Na to orzeczenie z niecierpliwością oczekuje cały Lublin.

„Głos Lubelski”

● Istniejąca w Lublinie od 3 czerwca 1925 roku Powiatowa Kasa Oszczędności rozwija się systematycznie z każdym rokiem. O rozwoju tej młodej instytucji świadczy najwymowniej jej kapital obrótowy. W dniu 31 grudnia 1926 roku kapital obrótowy wynosił 245 335 zł, w dniu 31 grudnia 1927 r. podniósł się do sumy 891 334 zł, a więc wzrósł w ciągu jednego roku, wynosił 263 proc. Obecnie kapital obrótowy 1 477 125 zł. Wskazy o oszczędnościowe wzrosły w r. 1927 do sumy 319 231,

co wobec 118 624 zł w roku 1926, stanowi 161,5 proc. przyrostu. Rosną kont oszczędnościowych wzrosła również z 3993 w r. 1926 do 8994, czyli o 78,4 proc. Obecnie na 8294 kontach wkłady wynoszą 122 753 złotych. Największa ilość kont przypada na sumy drobne nie przekraczające 50 zł. Takich wkładów PKO liczy 5429 (97 proc.) na łączną sumę zaledwie 37 629. Średnią kwotę łączną przedstawiają konta na sumy od 1000 do 5000 zł, które w liczbie 23 stanowią razem kwotę 43 778 zł. Liczyby te najwymowniej świadczą o popularności i zaufaniu jakim cieszy się PKO w Lublinie

„Głos Lubelski”

● Dbali o wygodę publiczności Zarząd Lubelskiej „Pasty” uruchomił przed kilku dniami dwie rozmównice telefoniczne w tutejszym ogrodzie miejskim. Jedną z nich umieszczono jest tuż przy bramie wejściowej na soecjalnej desce i zamontowana w ten sposób że na noc jest zdejmowana i przechowywana w domu dozorca. Jest to pierwsza próba umieszczenia rozmównicy na wolnym powietrzu. Druga miała się w cukierni a więc w centrum ogrodu.

Przypuszczać należy, że publiczność lubelska będzie uczęszczała do ogrodu w porze letniej, powita z zadowoleniem tę innowację

„Ziemia Lubelska”

Wybrała: Anna Orzechowska

DIABELSKI MŁYN

NA rogu Młynarskiej i Wolskiej było wesołe miasteczko. Najwięcej lubilem jeździć na diabelskim mlynie. Jak kosz spadał ze szczytu koła, robiło mi się bardzo przyjemnie w dole brzucha. I jeszcze lubilem rurki z kremem z cukierni Jemielity. Sliczna panna Krystyna czasem zabierała mnie na diabelski młyn. Tamtego dnia kupiliśmy pięć rurek u Jemielity i wszystkie kazaliśmy zapakować, bo chciałem je zjeść na diabelskim mlynie, bo to jest zupełnie co innego niż bezmyślne opychanie się w cukierni, gdzie wszyscy tak samo pośpiesznie się opychają.

Wzięliśmy rurki i poszliśmy w stronę Młynarskiej. Idąc myślałem, jak będę jadł te rurki na diabelskim mlynie. Pięć rurek na jedną jazdę, to było za dużo, ale mogło zdarzyć się tak, jak zdarzyło się już raz, że ten, co puszczał motor, odejdzie z drugim gościem za żółty wóz cyrkowy, żeby wypić wódkę z małej butelki i zagryźć kielbasę, a młyn cały czas będzie się kręcił, tak długo, ile trzeba na dwie jazdy albo i dłużej, aż różni ojcowie w innych koszach

zaczną krzyczeć, a ja przez ten czas zdąży zjeść te pięć rurek i cały czas będzie mi się robiło przyjemnie w dole brzucha, i będę śmiał się jak wariat. Tak myślałem.

Minęliśmy kościół Wojciecha i szliśmy wzdłuż czerwonego muru ze świeżej cegły, który był zaraz obok cementarza. I tam zobaczyliśmy małego Żyda, jak siedział pod murem na wiosennym słońcu jak parszwy kot. Ja nie wiedziałem, że to jest mały Żyd. Panna Krystyna mi powiedziała. To co ja widziałem, to była kupa brudnych gałganów koloru brązowego i puste kaptcie przed tą kupą, zwyczajne bambosze, tylko strasznie podarte. Spod tych gałganów w ogóle nie wyglądał żaden kawałek człowieka, ani głowa, ani ręka, ani noga. Ale to był mały Żyd. Przywędrował z getta aż tu. Usiadł sobie pod tym ciepłym murem i drzemał skulony, i wyglądał jak nie wiadomo co, jak kot parszwy albo jak kupa brudnych gałganów.

Przeszliśmy koło niego i ja mu się przyglądałem. Nie wiem, czy był większy ode mnie czy mniejszy.

Panna Krystyna powiedziała, że obok takiego małego Żyda siedzą-

go na ruchliwej ulicy nie powinno się przechodzić tak zwyczajnie, jakby go wcale nie było, ale powiedziałem, że nie ma dużo pieniędzy, tylko tyle co ja diabelski młyn. Ale przecież jemu nie były tak bardzo potrzebne jakieś pieniądze, bo musiałby dopiero iść z nimi do sklepu, a tam mogli go nie wpuścić, bo pewnie wszy po nim łazili. Więc powiedziałem pannie Krystynie o moich rurekach. I zawróciliśmy. A zdążyliśmy się już oddalić sporo od małego Żyda, więc znowu zbliżyliśmy się do niego i znowu widziałem go z daleka, i znowu nie wiedziałem, co to jest. Wcale się nie ruszał i żadnego jego kawałka nie było widać. Te bambosze, co przed nim, to może były po to, żeby ludzie kładli w nie chleb i kartofle, ale były puste.

Jeszcze mieliśmy kilka dobrych kroków, kiedy panna Krystyna powiedziała szybko:

— Uważaj, Niemiec! Nie patrz na Żyda!

To był śliczny niemiecki oficer. Buty miał świeżące i cały był zielony i szcypły. Szedł naprzeciw nas, a Żyd był po środku. To znaczyło, że rurek nie można położyć na bamboszach. Ja to wiedziałem. Szliśmy więc tak jakby tego małego Żyda nie było. A Niemiec uśmiechał się elegancko w stronę panny Krystyny, bo też była taka śliczna i szcypła.

Żyd był stale po środku, ale Niemiec doszedł do niego pierwszy. Zatrzymał się i wyjął z kieszeni garść monet, i posypał je na bambosze.

CIEPŁE POPOŁUDNIE

SPIEWAJĄCY żebracy przychodzili po południu, gdy słońce oświetlało moją połowę podwórza. Zaczynali od tej drugiej, w cieniu, bo była bliżej bramy. Zawadzili w otwarte okna. Z góry spadały pieniądze zawinięte w papier. Zbierali. Dziękowali. Spiewający nabożnie nie dziękowali, tylko wzywali Boga, żeby zapłacił. I przenosili się na słoneczną stronę. Musieli okrążyć wielki kwadrat ogrodzony napiętym drutem od słupka do słupka, gdzie powinny być klomby i trawnik, a były grządki i zagonki z warzywami. Także z kwiatami. Najwięcej georginii i warszawianek. Stawali przed czteropiętrową słoneczną ścianą i znowu zawadzili w otwarte okna. Jedna stara co parę dni śpiewała, awe-awe-awema-ryja zdrowaś-zdrowaś-zdrowaś-ma-ryja.

Z mieszkań dolatywał brzęk talerzy. Na ławkach w pobliżu parkanu pod dzikim winem siedzieli mężczyźni. Ci, którzy mieli grządki z warzywami, rozciągali czerwony wąż i brali się do podlewania. Było spokojnie i ciepło.

Słoneczne popołudnie to była najlepsza pora dla śpiewających żebraków. Także dla takich młodych wysokich w długich butach. Pamiętam, jak przed środkową klatką po drugiej stronie podwórza zajęchała dożółka. Dwaj obcy młodzi wynosili blaszane beczulki. Z mieszkania, z któregoś piętra albo z piwnicy. W beczulkach grzechotało. Były ciężkie. Układali je na dożółce. Starsze kobiety głośno wyrzekały. Bały się, że na podwórzu wpadną Niemcy. Były pewne, że to jakaś broń. Mogła być broń. Ale mógł być po prostu karbid. Do karbidówek. Naladowali, ile

się dało. Wsiadli sami. Nogi w błyszczących butach założyli na beczulki. I odjechali pod rozpostartą budą.

Ci z gestapo też lubili takie popołudnia. Podobno woleli noc, nad ranem. Ale pamiętam, że i po południu przyjeżdżali. Widziałem, jak zabrali rodziców Piotra. Z tej samej środkowej klatki po drugiej stronie podwórza. Piotrek większy ode mnie. Służył do mszy. Został z bratem. Brat prawie dorosły. W okularach. Rodzice nie wrócili. Brat w rok po Powstaniu uciekł do Anglii. Co z Piotkiem, nie wiem.

Kiedy przyjechali po pannę Krystynę, też było popołudnie. Ciepłe i słoneczne. Lato albo wiosna. I było tak spokojnie, cicho i bezpiecznie, jak powinno być w tę porę śpiewających żebraków. Na ławkach pod dzikim winem siedzieli mężczyźni. Gadali. Ja grzebałem się w piasku. Inne dzieciaki też. Piasek leżał na asfalcie podwórza koło mojej klatki schodowej. Wiślany, słoneczny. Był to chyba ten piasek, którym później napełniono drewniane skrzynie ustawione przed oknami piwnic dla osłony przed odłamkami w czasie nocnych rosyjskich nalotów.

Zobaczyłem ich, jak szli przez podwórze. Od bramy, od mieszkania dozorca. Przez tę połowę w cieniu, zbliżali się do tej w słońcu. Może żandarmi, może gestapo. Nie wiem. Przedtem obstawili dom dookoła. Przy furtkach, pod oknami. Tego nie widziałem. Wiem z opowiadań. Ławki pod dzikim winem były już puste. Dzieciaki zniknęły z piasku. Nie zauważyłem, kiedy.

Dozorca na przedzie. W granatowym kombinezonie, w okrągłym kaszkiecie. Wasaty. Oni z tupotem, chrzęstem, szczykiem. Dozorca wy-

szedł z cienia. Zerwałem się z piasku. Wpadłem na schody. I po dwa stopnie, po dwa stopnie. Najszybciej jak mogłem.

Na pierwszym piętrze, może wyżej usłyszałem, że idą za mną. Buty zgrzytające. Gwoździaste. I głosy. Ostre, krótkie. Gonili mnie. Więc jeszcze szybciej. Po dwa stopnie, po dwa stopnie. Dopadłem drzwi. Zaczęłam walić pięścią, butami. Oni coraz bliżej, coraz wyżej. A ja ciągle pod drzwiami. Więc pięścią i butami, i lopatką, i kubelkiem. I zacząłem płakać. I zacząłem robić siusiu. Zaczęłam szczać jak pies, jak kot. Na próg, na słomiankę. Nie zacząłem. Samo się zaczęło. Zbliżyli się już do okna na półpiętrze. Plecy dozorca. Helmy, może czapki za nim, niżej.

Drzwi otworzyły się. Wpadłem do przedpokoju. A tu gwar, śmiech, wesołość. Imieniny. Jeśli wiosna albo lato, to czyje? Może nie imieniny. Śmieją się, że zrobilem siusiu na słomiankę. Trzeba było w piasek, mówią, albo do kubelka. Ja taki wściekły. Pozabijałbym wszystkich. Zabrali mi lopatkę.

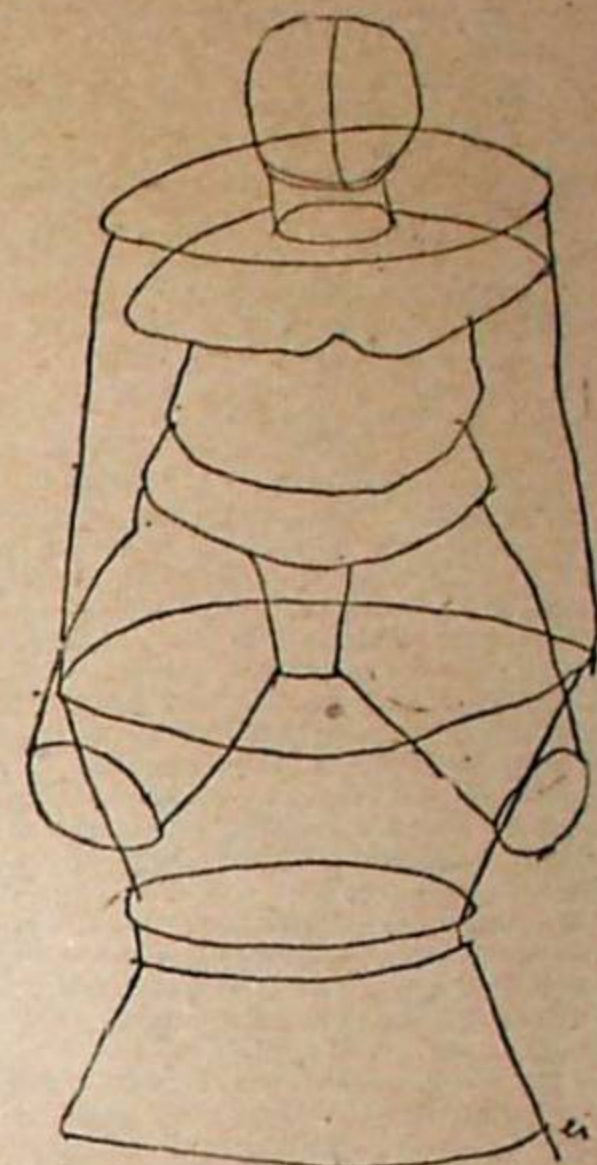
A tam łomotanie. Dozorca wyważył drzwi. Wpadł do środka. Ten, co stał pod oknami, strzelałby, gdyby ktoś chciał wyskoczyć z trzeciego piętra. Ale nie było nikogo. Przeszukali mieszkanie. Poszli sobie. Dozorca musiał wezwać ślusarza, żeby naprawił zamek.

Ja w tym czasie zdejmowałem buty, spodnie, majtki, pończochy. Wszystko mokre. Pończochy pamiętam na pewno. Więc chyba wiosna, nie lato. Płakałem ze złości i wstydu.

A za oknem, na dworze ciągle było słoneczne ciepłe popołudnie. Dzieciaki znowu grzebały się w piasku. Mężczyźni znowu gadali pod dzikim winem. I może jakiś żebrak śpiewał w otwarte okna. Nie wyszedłem już z domu tego dnia. Zaczęłam swoje myślenie o pannie Krystynie. Bo

Uśmiechał się dalej elegancko. Kiedy przechodziliśmy obok, wyjął z kieszeni napęczoną czekoladę i też rzucił na bambosze. A mały Żyd wcale się nie ruszał.

Przeszliśmy koło nich. Ja się obejrzałem. Niemiec stał i patrzył za nami. Żyd się nie ruszał, chociaż powinien się poruszyć, bo Niemiec zasłonił mu słońce, więc powinien poczuć, że już nie grzeje. Panna Krystyna nie mówiła, trzymała mnie mocno za ramię, żeby się nie oglądał. Tak doszliśmy do smierdzącego szaletu, który był naprzeciw kościoła i musieliśmy pójść jeszcze gdzieś dalej, ale nie pamiętam, co było dalej.



Rys. E. Ingłot

jak tylko Niemcy poszli i jak tylko zrzuciłem mokre szmaty, dowiedziałem się, że szukali panny Krystyny. Więc od razu tamtego popołudnia zacząłem swoje myślenie o niej. Myślenie, martwienie się, oczekiwanie. Tak było chyba aż do Powstania.

Mówili, że miała fiołkowe oczy. Fiołkowe oczy. Ja nie wiem, czy miała fiołkowe oczy. Marzyłem o jej powrocie, bo chciałem znowu iść z nią ulicą Wolską. Iść z nią, taką śliczną i trzymać ją za rękę. Chciałem, żeby znowu wszyscy oglądali się za nią. Młodzi mężczyźni w długich butach, niemieccy oficerowie i nawet ojcowie z dziećmi. Jaka to była radość kiedy oni tak oglądali się i oglądali, a ja szedłem z nią i rozmawiałem z nią, taką śliczną. I jeszcze bardzo chciałem znowu znaleźć się o zmierzchu w jej pokoju. I siedząc na stolku czekać w wielkiej ciszy, aż zacznie grać na pianinie. Dla mnie.

Więc tak było do Powstania. A potem wszystko przewróciło się do góry nogami. I musiałem zapomnieć o moich marzeniach. I przestałem czekać. Tylko od czasu do czasu myślałem o pannie Krystynie. Przypominałem ją sobie. Od czasu do czasu.

FILIŻANKA KAKAO

WINDA wjeżdżało się na najwyższe piętro. I zaraz po przywitaniu się z ciotką, prosto z przedpokoju można było wyjść na taras. Taki taras na wysokim domu w środku miasta, to jest coś wspaniałego. Był taki rozległy, że biegałem po nim jak po podwórku. A jeśli nikt nie patrzył, wchodziłem na żelazną drabinę prowadzącą na dach. Ale najważniejsze było stanie przy barierze i patrzenie w dół. Na dachy innych domów, na podwórza i na mały ogród za parkanem. Nigdy przedtem nie patrzyłem na nie z tak du-

żej wysokości. Więc cieszyłem się, kiedy wybierałem się do ciotki. I cieszyłem się, kiedy już stałem przy barierze i patrzyłem w dół.

Widziałem podwórza, po którym chodzili ludzie mali jak muchy albo jeszcze mniejsi. Okrążali trawnik z klombem po środku i znikali w bramie dwupiętrowego żółtego domu. Przez tę bramę przechodziło się na drugie podwórze, którego nie widziałem z tarasu. A za nim była następna brama, której też nie widziałem. I dopiero przez nią wchodziło się na ruchliwą ulicę. Po prawej stronie był ten mały ogród pe-

len przyjemnego cienia ogrodzony od podwórza parkanem. Pod drzewami stały okrągłe stoliki, czerwone i białe. Z góry wyglądały jak coś do zabawy. To była cukiernia w ogrodzie. W słoneczne dni przy stolikach siedzieli goście. Nieraz słyszałem ich głosy, chociaż byłem bardzo wysoko. Gdzieś w głębi ogrodu grała orkiestra. Z tarasu nie było jej widać. Pamiętam, że często grali tę bardzo znaną piosenkę o żołnierzu, który maszerował drogą. Teraz po paru latach wydaje mi się nawet, że nie innego nie grali, tylko tę jedną piosenkę. Kiedy tak stałem, za plecami miałem okna mieszkania ciotki. Wyżej było tylko niebo.

Ten dzień, który tak dobrze zapamiętałem, był bardzo słoneczny. Tak jak zawsze, biegałem po tarasie i

przystawałem przy barierze. Patrzyłem na podwórza i na cukiernię w ogrodzie. Śpiewałem sobie po cichu razem z orkiestrą o żołnierzu, który uzalil się nad serduszkami i schował je do plecaka. Ale ciągle odwracałem się od bariery i patrzyłem w górę ponad mieszkaniem ciotki, bo tam był w niebo gesty dym. To wyglądało tak jakby niedaleko za tym domem był wielki komin niewidoczny z tarasu. Gdybym mniej wiedział, mógłbym pomyśleć, że to jest dym z wielkiego kamina. Byłem tam, więc mogłem wspiąć się na ze-

Dokończenie na str. 12

Londyńska przygoda

W WYDANYM ostatnio wyborze opowiadań poczytnego batalisty, Waldemara Kotowicza „Noce bez snu” („Ossolineum 1977”) znalazł się m. in. „Laternik z Imperial War Museum” (drukowany uprzednio w tomie pt. „Wojna i wojenka”). Jest to opowieść o Polaku pracującym w londyńskim muzeum jako strażnik, ale spełniającym (we własnym mniemaniu) rolę specjalną: sprawowanie pieczy nad polskim karabinem przeciwpancernym (wz. 35 UR).

Historijka byłaby wzruszająca, gdyby nie jedno zdanie. Ow strażnik, pokazując narratoremowi kb ppanc., mówi: „...żeby to zobaczyć, jako zawodowy oficer w randze porucznika, musiałem złożyć specjalną przysięgę, przejść dodatkowe przeszkolenie, osobistą rozmowę z naszym generałem, dowódcą deoka, jeszcze jedna przysięga na piśmie i... nie zobaczyłem”. (s. 314) Niestety, p. Kotowicz za bardzo zapatrzył się w nie nazbyt wierny realism „Wrzesień” Putramenta.

W karabinach ppanc. uzbrojone były plutony piechoty i kawalerii (po jednym kb na pluton), co na terenie DOK (na ogół 3 Dywizje Piechoty i jedna Brygada Kawalerii — nie licząc jednostek rezerwowych) dawało 279 sztuk. Wyobraźmy sobie zatem ta-

ką scenę: w dniu ogłoszenia mobilizacji (bo wtedy wydawano sprzęt mob.) ustawia się u dowódcy DOK 279 poruczników, a każdy z dwoma strzelcami, no i przeprowadzają „osobiste rozmowy”. A „specjalne przeszkolenie” nie było potrzebne, bo kb wz. 35 UR miał zamek typu Mauser — jak w broni osobistej każdego strzelca.

I jeszcze dopisek: Niedawno miałem okazję zwiedzać Imperial War Museum. Polaka-strażnika nie zastałem (pewnie już emeryt), ale co gorsze, mimo usilnych poszukiwań, nie znalazłem polskiego karabinu ppanc...

Błażej

PS. We wspomnianym tomie, w opowiadaniu pt. „Przypadki pułkownika Kondraciuka” (s. 229), znalazło się takie zdanie: „... ze współczesną taktyką walki oddziałów regularnych ani my z partyzantki, ani oficerowie przedwojenni nie bardzo dawaliśmy sobie radę”. A myślałem, że już dawno zaprzestano krytykować w czambuł Wojsko Polskie sprzed roku 1939. Przecież wiadomo dziś, że z przygotowaniem generałów bywało wówczas różnie, ale oficerowie niższego i średniego szczebla byli pod względem taktycznym nieźle wyszkoleni, zaś taktyka nie zmienia się tak znowu bardzo.

MAJ okazał się miesiącem niezwykle bogatym w wydarzenia muzyczne, toteż z uwagi na szczupłość niniejszych zapisków ograniczyć się wypadnie do rzeczy najważniejszych, inne tylko odnotowując lub odkładając szczegółowe ich zrelacjonowanie na sposobniejszą okazję.

Na przełomie kwietnia i maja zaprezentowało się lubelskiej publiczności trzech pianistów. Pisałem już o recitalu Artura Moreira Lima; pora więc na kilka

— na ile to możliwe — znieślenia dystansu między wykonawcą a słuchaczem, co jest udziałem nielicznych artystów. Skupiony, logiczny i oświecający bogatą fakturą dźwięku (choć grany *à la mode anglaise*) Bach czy bardzo ekspresyjny, o wyrazistych kontrastach dynamicznych Bartok okazały się pod palcami Swanna kreacjami dużej miary. Specjalnie chciałbym podkreślić bardzo dobre wykonanie *Drugiego Roku Pięćdziesiątka*; oczywiście, jeśli ktoś gustuje w wirtuozowskich popisach Cziffry, nie

NOTATNIK MUZYCZNY

Stefan Münch

refleksji w związku z koncertami Adama Fellegi i Jeffrey'a Swanna.

Adam Fellegi, laureat konkursu pianistycznego w Rio de Janeiro, wykonał 24 Preludia op. 28 Fryderyka Chopina oraz *Balladę h-moll*, *Etiudę koncertową Des-dur „Un Sospiro”*, *XII Rapsodię węgierską* oraz *Les jeux d'eau a Villa d'Este* Franciszka Liszta. Słyszałem go w ubiegłym roku w Warszawie, gdzie zagrał cztery sonaty Beethovena w sposób kulturalny, logiczny i akuratywny technicznie; całościowe wrażenie tej interpretacji psuł wszakże suchy i nie zawsze precyzyjny dźwięk oraz osobliwa pedalizacja. Dlatego też oczekiwałem z pewnym niepokojem cyklu preludów, tym bardziej, że przed kilkoma zaledwie dniami grał je porywająco Moreira Lima. Słuchając Adama Fellegi odniosłem wrażenie, że tego wieczoru nie był on najlepiej dysponowany. Interpretacja chopinowskiego op. 28 zniechęcała chaotycznością linii melodycznej, przypadkowością zmian fakturalnych, brakiem koncepcji, wreszcie — ubóstwem wyobraźni muzycznej. Momentami odnosiło się wrażenie, że jedynym marzeniem solisty jest jak najszybsze dotarcie do końca zapisu nutowego. Gorzej, że i audytorium myślało o tym samym... Znaczną poprawę można było dostrzec w wykonaniu utworów Liszta, choć i tu dały o sobie znać niedostatki gry, ujawnione swego czasu przy okazji sonat Beethovena. Dopiero kończąca program *XII Rapsodia węgierska* była naprawdę interesująca.

Zupełnie innych wrażeń dostarczył recital Jeffrey'a Swanna, znanego dobrze polskim melomanom od czasów VIII Konkursu Chopinowskiego, na którym otrzymał nagrodę krytyków muzycznych. Młody ten pianista zaimponować może aktywnością i nieustanną troską o podnoszenie swych umiejętności. Dowodzi tego udział Swanna w licznych konkursach amerykańskich (Montreal, Dallas, Amarillo) i europejskich (im. Królowej Elżbiety w Brukseli, Lizbona czy im. Dino Ciani w Mediolanie) i zdobywane tam nagrody, z reguły pierwsze, czego rezultatem są liczne recitale i koncerty z udziałem znanych orkiestr symfonicznych.

W wykonaniu Jeffrey'a Swanna usłyszeliśmy: *Partię nr 6 e-moll* Jana Sebastiana Bacha, *Suitę „Out of Doors”* Beli Bartoka i *Seconde Année de Pelegrinage* Franciszka Liszta, a na bis *Nokturn Es-dur op. 55 nr 2* i *Walc Des-dur op. 64 nr 1* Fryderyka Chopina. Amerykański pianista zafascynował przede wszystkim głębokim i w pozytywnym sensie emocjonalnym odczytaniem tekstu muzycznego, niezwykle bogactwem wyobraźni i rzadką umiejętnością tworzenia tego szczególnego nastroju, jaki towarzyszy obcowaniu z prawdziwą wielką sztuką. Przy tym jego gra dąży do maksymalnego

mogło mu się to spodobać. Uważam interpretację Swanna za dorównującą pod względem precyzji i rozmachu w budowaniu szerokich płaszczyzn kolorystycznych grze Lazara Bermana (który nagrał



Leonard Kaczanowski



Fot. J. H. Kowalewski

Dokończenie ze str. 11

lazną drabinę. Wystarczyło kilka szczebli, żeby spojrzeć ponad dachem. Dym kłębił się czarno i żółto. Tak gęsto. I tak blisko. Aż musiałem pomyśleć, że podnosi się z Ogrodu Saskiego. Chociaż wiedziałem, że nie z Ogrodu. Nie było wiatru, więc był prosto w niebo. Nie gryzł w oczy i nawet spalenizny nie czułem, ale długo nie mogłem patrzeć. Na taki straszny dym nie można długo patrzeć, bo ciarki zaczynają chodzić po plecach. Więc tego dnia więcej nie wchodziłem na drabinę.

A potem usłyszałem samochód na dole i podbiegłem do bariery. Samochód stał koło trawnika. Wyskakiwali z niego Niemcy w zielonych mundurach. Zatrzasnęli drzwi samochodu. Kilku poszło przez podwórze do tego niskiego żółtego domu. Wyraźnie słyszałem ich kroki, chociaż w ogrodzie cały czas grała orkiestra. Jeden Niemiec stał przy samochodzie na szeroko rozstawionych nogach i patrzył na żółty dom. Jak to zobaczyłem, przestraszyłem się. Pobiegłem w róg tarasu i przykucałem przy barierze.

Kiedy przyjechali do naszego domu, wszystko było tak samo. Podwórze w jednej chwili opustosza-

FILIŻANKA KAKAO

ło. Wszyscy pochowali się w mieszkaniach i tylko zza firanek patrzyli. I tak samo jak teraz jeden został na dole i obserwował dom. Dozorca prowadził ich do mieszkania panny Krystyny. Jak przypomniałem sobie to wszystko, przestraszyłem się. Bo pomyślałem niemiędrze, że znowu przyjechali po pannę Krystynę. Wszystko mi się pomyliło. Przecież jej mieszkanie było na Woli. Parę lat temu byłem taki mały i dlatego wszystko mi się pomyliło i przestraszyłem się. Potem przypomniałem sobie, gdzie jestem i trochę się uspokoiłem. Ale nadal patrzyłem przez pręty bariery na Niemca przy samochodzie i na drzwi żółtego domu. Bardzo chciałem, żeby wyszli sami, tak jak wtedy.

Z mieszkania zawołała mnie mama, żebym przyszedł wypić kakao. Co dzień wypijałem filiżankę kakao, bo byłem chudy i musiałem się poprawić. To kakao ktoś przysłał z Portugalii. Nie wiem kto. Przysłał kakao, sardynki i figi. Tak wtedy było, że ktoś przysyłał paczki z Portugalii. Ale nie ruszyłem się z tego kąta przy barierze. Bardzo chciałem

przekonać się, że wychodzą sami na podwórze!

Mama zawołała mnie drugi raz. Znowu udałem, że nie słyszę. Więc wyszła na taras niosąc filiżankę kakao. Nie ruszyłem się, żeby nie przecoczyć tej chwili, kiedy będą wychodzić. Podeszła do mnie zniecierpliwiona i zobaczyła tego Niemca na dole. Powiedziała, że są w żółtym domu. Kazała mi odejść od bariery. Powiedziałem, że muszę czekać, aż wyjdą, żeby przekonać się kogo wprowadzą. Kazała mi usiąść na leżaku pod ścianą, z dala od bariery. Przykucałem przy mnie i podała mi filiżankę.

Bardzo lubiłem kakao, ale wtedy nie smakowało mi. Za barierą widziałem tylko dachy innych domów najeżone kominami. Nasłuchiwałem, co się dzieje na dole. Orkiestra w ogrodzie grała wesoło. Przeszkadzała mi. Nie usłyszałem, jak idą przez podwórze. Dopiero trzaskanie drzwi samochodu doleciało do moich uszu. Chciałem wtedy oddać mamie filiżankę i pobiec do bariery. Ale ona przytrzymała mnie za ramię i nie mogłem wydzwignąć się z leżaka.

Krzyknąłem, że muszę zobaczyć, kogo wprowadzają. Ale mama ciągle trzymając mnie za ramię powiedziała, że wprawdzie muszę wypić kakao. Wiedziałem, że nie chodzi o kakao. Nawet gdybym je wypił, nie pozwoliłaby mi podejść do bariery.

Samochód ruszył. I wjechał w bramę. I zrobiło się zupełnie cicho na podwórzu. Tylko ta zwariowana orkiestra grała wesoło. Byłem zły na mamę. Nie odzywałem się. Piłem kakao małymi łykami, a po każdym łyku zbierało mi się na mdłości. Kiedy oddałem pustą filiżankę, rzuciłem się plecami na leżak i zamknąłem oczy, żeby nie widzieć dymu.

Raz, gdy z oknami szarzało, a lampy jeszcze nie świeciły, siedziałem na stolku w jej pokoju. Brodę podpierałem pięściami. Ona przy pianinie, w najciemniejszym kącie. Widziałem jej dłonie na białych klawiszach. I twarz, gdy spoglądała na mnie. Uśmiechałem się do niej. Byłem taki szczęśliwy. Och, żebym znow mógł znaleźć się w jej pokoju. Żeby znow przyszła, gdy z oknami zacznie szarzeć. Żeby przyszła po mnie. Panna Krystyna.

W ogrodzie ciągle grała wesoła orkiestra. A kiedy przycichła, dolatywały do mnie głosy ludzi siedzących przy okrągłych stolikach. Dymu było coraz więcej. Nawet gdybym nie wiedział, że to jest dym z getta, musiałbym się przerazić widząc go tyle na niebie.

Andrzej Kuźmierkiewicz

niedawno całość *Années de Pèlerinage*), choć usfepuje jej ona z pewnością, jeśli wziąć pod uwagę spójność i logikę konstrukcji całego cyklu. Odnosi się to zwłaszcza do sonaty-fantazji „Po lekturze Dantego” (Jeffrey Swann grał tylko pięć części Italii według edycji z 1858 roku, czyli bez Wenecji i Neapolu). Bisy przypomniły nam Swanna-chopinistę, przy czym Nokturn Es-dur cechowała romantyczna głębia i zaduma, zaś Wałe minutowy odznaczał się tendencją do eksponowania wielkich możliwości technicznych pianisty. Duże brawo dla dyrekcji Filharmonii, która w tak krótkim czasie przedstawiła melomanom dwóch bohaterów poprzednich konkursów chopinowskich, a w czerwcu zapowiadany jest jeszcze Eugene Indjic.

Jeden z najciekawszych polskich dyrygentów, Renard Czajkowski, i meksykański skrzypek Hector Olvera zaprezentowali się słuchaczom w repertuarze Mozartowskim (Koncert skrzypcowy nr 5 A-dur K. V. 219 i Symfonia g-moll K. V. 550) oraz w uwerturze do opery *Ifigenia w Aulidzie* Christoph'a Willibalda Glucka. Szczególnie podobała mi się Symfonia g-moll, zwłaszcza melancholijne Andante i niespokojne, burzliwe finałowe *Allegro assai*. Główna tu zasługa dyrygenta, który umiał pokazać wszelkie niuanse formalne tej niemal już romantycznej kompozycji, jej doskonałą architekturę i szlachetne brzmienie. Orkiestra Filharmonii spisała się tu bardzo dobrze i — co najważniejsze — ocena ta dotyczy wszystkich grup instrumentów. Zawiół natomiast solista: miał z Koncertem A-dur zasadnicze kłopoty natury technicznej, co skutecznie zniweczyło wysiłek i dobre chęci dyrygenta i orkiestry.

Trzeba też odnotować koncerty dwóch zespołów chóralnych (właściwie trzech, ale o tym za chwilę): Chóru Akademii Rolniczej i włoskiego Corale Goriziana C. A. Seghizzi. Najmłodszy z lubelskich chórow, kierowany przez Andree Jaworską, ujawnił duże możliwości tkwiące w nie najlepiej jeszcze wyszkolonych głosach zespołu. Wydaje się, że specjalitês de la maison Chóru AR stanowiąc będą mniejsze formy wokalne. Dobrze się stało, że Andrea Jaworską zdolała „rozśpiewać” jeszcze jedno srodowisko akademickie. Gratulujemy więc młodej dyrygentce i jej podopiecznym udanego debiutu, oczekując dalszych koncertów!

Chór męski z Gorycji, założony przez Seghizziego w 1922 roku, specjalizuje się w wykonywaniu ludowej muzyki regionu Friuli. Doskonale warunki głosowe chórzystów nie idą wszakże w parze z nienaganą emisją dykcji czy umiętnością budowania wielogłosowych konstrukcji. To niezbyt korzystne wrażenie włoscy goście starali się zatrzeć urokiem prezentowanych pieśni i radością śpiewania.

Z okazji X-lecia istnienia Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia odbyły się minirecitale uczniów i absolwentów oraz uroczysty koncert połączony z nadaniem szkole imienia wybitnego muzyka i kompozytora — Tadeusza Szeligowskiego. Jego też utwory znalazły się w programie wieczoru: Koncert fortepianowy i estradowa wersja opery *Bunt żaków*. Solistą Koncertu był absolwent PSM w klasie prof. Teresy Księskiej, Waldemar Malicki — obecnie student gdańskiej PWSM, gdzie kształcił się pod kierunkiem Jerzego Sulikowskiego. Młody, bardzo utalentowany pianista stworzył przekonującą kreację dzieła, imponując wirtuozowskim rozmachem początkowego *Allegro con brio* i doskonałą, pulsującą rytmiką finału (*Allegro risoluto*). *Bunt żaków* z kolei był popisem solistów: Marii Olkusz (mezzosopran), Edwina Borkowskiego (tenor) i Kazimierza Przyłubskiego (baryton), dzielnie wspomnianych przez dobrze znany już nam z *Msy Nelsonskiej* Haydna Chór PSM (przygotowanie chóru — Danuta Wysok). Operę Szeligowskiego, udatnie łączącą elementy archaizujące ze środkami nowszej muzyki, dyrygował bezbłędnie Adam Natanek.

Nie koniec na tym majowych atrakcji muzycznych; od siedmiu lat w miesiącu tym odbywa się Należowskie Divertimento. O nim jednak napiszę oddzielnie.

DEBIUT

Mirosław Prokopiuk

MUR

za murem wielkim murem pamięć
kryją swe twarze myśli nieodkryte
o wykutych rysach zrównanych do ciszy
zdarłe do krwi z nocą ciemną zmieszane

myśli inne lecz wciąż te same
przetwarzają aż do końca świata
bo nie ludzie ich szukają
lecz one szukają l u d z i.



CZYTAM dzisiejszą powieść. Nie mówię, że każda. Jeśli spytasz mnie o jakiegoś „Protuberancje dopełniaczy” jakiegoś Brypscia, nie będę znał.

Z pokorą jestem przygotowany na czyjkolwiek zarzut, że nie mam pełnego obrazu obecnej produkcji powieściowej w Polsce. Tak samo nie wiem ile liści zawiera gałąź drzewa przedstawionego na obrazie Piotra Breughela (starszego) „Taniec chłopski”.

Nie orientuję się również w geografii zjawisk literackich w Polsce. Jeśli w ogóle taka istnieje. Owszem, literaci na ogół mają jakieś miejsce zamieszkania, ale nie wiem jaka wynika stąd wymowa artystyczna. Powieść napisaną w Poznaniu z powodzeniem może przeczytać rzeszowianin w Rzeszowie, a w Szczecinie — białostoczanin. W Warszawie znajduje się przeszło połowa członków Związku Literatów Polskich nie dlatego, że środek Wisły szczególnie upatrzyły sobie muzyk nawiedzający ten kraj, lecz dlatego, że jest to miasto przeszło milionowe, więc określone arytmetyczne prawidłowości stąd wynikające, ponadto Warszawa jako stolica dysponuje większą ilością źródeł publikacji. O geografii zjawisk literackich moglibyśmy mówić wtedy, gdyby samo skrzyżowanie południków z równoleżnikami miało własności literaturotwórcze. Możemy co najwyżej mówić o geografii ośrodków literackich, czyli miejsc zamieszkania pisarzy. Z czego jak wspominałem, nic nie wynika. Ale to dygresja. Wracam do tematu.

Dzisiejsza powieść grzeszy nadmiarem scen, a właściwie obscen erotycznych. Ale nie jest to punkt, na który kieruję swój zarzut. Bo dzisiejsi młodzi autorzy czekają, by tylko w to miejsce godzić, a będą mieli nieustający powód do pobłażliwego uśmiechu. Ze niby każdy z lektury wychwytyuje to, co go najbardziej interesuje, jak ów aneodotyczny spowiednik ożywający się szczególnie przy wyznaniu romansującej kucharki. I dalej są pewni swego.

Otóż sprawa przedstawia się szerzej. W młodej powieści wytworzyła się jakaś poetyka mocnego uderzenia, konwencja dyskoteki. Mocno, ośno, dobitnie. Utwór mierzy się ilością wlotnych weń literackich decybeli. Walić na cały regulator.

Dlaczego? Tu jesteśmy przy problemie. Pan Brypsć odpowie: dlatego, że taka nasza współczesność, że skończyło się wachanie reżery, że przechodzimy to ukazywanie nagonie prawdy. (Przyznając, że nie tak dawno uka-

zywano „nagą duszę” i między tymi dwoma ukazwaniami jakaś analogia mi się rysuje również co do rezultatów w historii literatury). W rzeczywistości jest inaczej. Po prostu pan Brypsć nie jest za dobry, jako pisarz, więc mankamenty swoich dyspozycji twórczych przykrywa ową beceremonialnością z pieprzykiem, do pewnego stopnia słusznie uważając, że czytelnik zafrapowany pikantnością sceny łózkowej nie zauważy słabości artystycznych tekstu. Jak negliz piosenkarski ma odsunąć na dalszy plan niedostatek jej walorów wokalnych. (Nie pomyliłem się, negliz zalegalizowany nie przestaje być neglizem).

Owszem, dzisiejsza proza nie składa się z samych Brypsciów. Ich zwielokrotniona liczebnie wtórność pozwala tylko wyznaczyć proces zasadniczy, jak skrzypienie taborów zdradza kierunek marszu. W ogóle behawioryzm współczesnej powieści występuje jako spóźniony czy lepiej nie przeżyty relikwyt drugiej wojny światowej. Po „epoce pieców” nie wypadło pisać „Pięknie” i to tłumaczy prowokacyjną stylistykę Borowskiego, oszczędną („przydeptywałem gardziel mojej pieśni” — Majakowski) poetykę Rózewicza. Ale co się stało później? Konwencje słowa, które zrzuciło ozdoby piórka, uzasadniona w temacie „martyrologia”, doznała prolegandy w temacie „miłość”. Małgorzata Hillar w „Probie do macierzanki” pisze piórem Rózewicza z „Niepokoju”. I krytyka klaszcze! Bo już raz się uprawomocnił styl zaklasyfikowany jako „oszczędność ponurona do ascezy”, „rezygnacja z taniach pięknościami”, „sprostowanie języka polskiego”. Trudno o lepszy przykład bezwładu myślowego. To samo w prozie. Becceremonialność Borowskiego usprawiedliwiona jako replika na becceremonialność historii przyjęta została jako sprawdzony, więc wart podchwycenia kanon w pisarstwie Nowakowskiego. Et consortes. W konsekwencji wiezień kacetu znalazł się na tej samej mapie stylistycznej, co Benek — Kwiciarz. Z czasem zaczęto ten model ulepszać osiągnięciami Zachodu, aż powstała, jak już wspominałem, powieść — dyskoteka. W której nonkonformizm obyczajowy wyraża się scenami stadnych kopulacji, protest filozoficzny rechotem. Z frajera wziętego pod zbiorowe kopniaki, wkład pokoleniowy słownictwem opartym na terminach „ropa”, „dziupła”, „sarkofag”. Znamienne, że dzisiejszość nie wytwarza pojęć ani sądów. Wytwarza terminy. W duchu niedzisiejszej stodziejskiej gwary Targówka albo Pelcowizny.

O epoce się mówi, że jest przelotowa jak żadna poprzednia. Słusznie. Świadczy o tym nie tylko koszmarny na skalę globu, jakim była druga wojna światowa, ale również szereg zjawisk cywilizacyjnych. Bagatelka. W ciągu ostatnich czterdziestu lat na skurpie ziemskiej wybudowano więcej niż w ciągu całych poprzednich dziejów ludzkości. Wykuto klucz do kosmosu. Po autodefro-

nizacji filozofii przewodnictwo duchowe człowieka leży na ulicy, jak pieniądze w „ziemi obiecanej”, a twórczość artystyczna nie wykazuje żadnej ochoty dla jego podjęcia. Muzyka uczyniła unik w stronę zgrzytów i języków, plastyka w stronę zacieków i nalepek, literatura, którą zaczął uciśkać „rząd dusz”, zmieniła go na tychże dusz inżyniera, by wkrótce i z tego zrezygnować poprzestając na małym realizmie w wydaniu powojennym. Dzięki małemu realizmowi dwudziestolecia dowiedzieliśmy się o piszących pań jak się obiera jabłko, jak się robi na drutach i jak się sadza kurczęta („Noce i dnie” — największa powieść małego realizmu), dzięki małemu realizmowi lat sześć- i siedemdziesiątych wiemy, jakiej degrengoladzie z lubością poddaje się srodowisko młodzieżowe okresu „chaty” i dyskoteki. Osobliwe: kiedy stopień cywilizacji znajdował się na poziomie lampy naftowej, literatura poruszała problemy filozofii, psychologii, moralności; kiedy ludzkość dysponuje komputerami, mamy lumpen-literaturę. Literaturę gwałtowną, „skoków” i knajpekich siuch.

Przeciwko czemu nawet bym nie protestował. Tylko — to gorzej! Dzisiejsza powieść wybrała gorszą część tematu. Na jej bazie serwuje się artystyczne pierwociny pod pozorami męskiej filozofii i dojrzałej stylistyki, która „przeżytyła” ubiegłowieczny naturalizm. I daje się taki sam naturalizm, tyle tylko, że tegowieczny. Po „Listach do pani Z.” tylko w jednym wypadku, mianowicie z powodu „Czekania na sen psa” Ficowskiego miałem czytelnicza satysfakcję refleksyjną, zadumy, intelektualnej poezji. W innym wypadku to albo „szczęść” (przynajmniej się do płycizny psychologizacji) albo „odwaga” (becceremonialność w operowaniu scenami i słownictwem), albo „metafora” (kamufaż pustki), albo „intelektualna perspektywa” (autor coś bąknął, a czytelnik ma się w tym domyślać głębi, to znaczy tworząc znaczenie wyprzedzając autora). Można jeszcze kilka typów stylistycznych wyodrębnić. Nie chodzi o pełny wykaz. Każdy z nich będzie wyrazem tego żalnego rozłamu jaki powstaje między pisarstwem a czytelnictwem, rozłamu, którego nie zarypie pjań statystyk, ani nie zastępuje run na dany tytuł. Bo run bywa spowodowany treściami innymi, niż te, które zostały wysunięte na fronton utworu.

Czy więc iza się w oku kryje za niedzisiejszymi śniegami? Bynajmniej. Niedawno przeczytałem po raz drugi „Próżno” Berenta. Smutek i przygnębienie. Ale po raz drugi, a nie po raz polowiczny. Ale smutek i przygnębienie, a nie litosć i trwoga. A czy ktoś kiedyś rozczaruje się Brypsciem? Nie. Bo od razu mu przyznał odpowiednią rangę.

Protazy



Lidia Maciejewska

POCZTA literacka



H. W. Lublin. Pani wiersz o wyęciu pokoju zdradza pewną umiejętność wzięcia się w sytuację, pewną gęstość słowa. Oczywiście — w stanie początkowym. Czy w przyszłości coś z tego wyniknie? Nie zdziwiłbym się, gdyby tak.

M. J. Popowiczki. Tak, czuje się serdeczny rytm w tych wierszach. Nie są skłamanie. Można w nich odczytać wiele z biografii autorki. Tylko za mało pasji kreacyjnej. Ale jeżeli sam „pamiętnik liryczny” był w zamiarze...

S. M. Przystał. Pan tylko jeden wiersz, więc ocena jest utrudniona, ale swoje wrażenie czytelnicze mogę przekazać. Ma Pan skłonność do przytaczania prawd oczywistych. Niezależnie od tego, z jak bliskich nam doświadczeń życiowych one wynikają, trzeba ich uniknąć. Nie znaczy to, że na tym wycofuje się pańska inwencja. Potrafi Pan zasłuchiwać, jak się to stało w trzeciej strofie. Tyle ja, reszta należy do Pana.

R. W. Szczecin. Przykro mi Pana rozczarować, ale są to rzeczy nieudane. Czy może lepiej: niepotrzebne. Nie potrzeba pisać wiersza, by zakomunikować, że wiatr szumi i falduje jezioro, że w lesie jest cicho i przyjemnie. A niestety innych stwierdzeń w tych tekstach nie spotkałem. Jeżeli naprawdę interesuje Pana poezja, trzeba zawrócić z dotychczasowej drogi i za pośrednictwem lektur, a także przemyśleń zdać sobie sprawę na czym ta czynność polega. Wiem, że oczekiwał Pan odpowiedzi innej, a przynajmniej łagodniejszej. Ale chyba nie należy Panu, bym schował się za konwencjonalną formułkę.

R. S. Sandomierz. Owszem można powiedzieć że wiersz się robi z niczego. W tym znaczeniu, że na dobrą sprawę nie ma tematu. Jedynym jego materiałem — czy będzie o jesieni, czy o wyprawie kosmonautów jest widzenie autora. I tu właśnie owo „z niczego” nabiera znaczenia. Bo poezja rodzi się z doświadczeń, z przeżyć, z mądrości poety. To tematyczne „nie” jest filozoficznie wszystkim.

S. O. Puławy. Nie będę tań, że co w tych wierszach odrzuca mój obowiązek lektorski, przyjmuję czytelniczą wrażliwość. Tylko nie pisz się dla jednego. Gdybym miał być całą pańską publicznością — w porządku. Ale przypuszczalnie pragnie Pan dotrzeć do większej liczby par oczu. Więc może lepiej było by mniej intymnego zwierzenia, a więcej tzw. obiektywizacji. Proponuje. Bo wgląda na to, że poezja Pana liryczna dysponuje, potrzeba tylko trochę więcej krytycyzmu, selekcji.

W. S. Lublin. Przy skomplikowaniu współczesnej metafory, przy przesadnej rozłożeniu skojarzeń dobrze jest czasem przejść na pewny grunt konstatacji prostych, a nawet oczywistych. Ale w Pana wydaniu ta praktyka zbyt często przechyla się w naiwność. Owszem, będzie Pan bronił argumentem, że na tym właśnie polega terapia prostoty, ale nie uwzględni Pan, że nie ma znaku równania między prostotą a bylejakością. W poezji nawet byle jakoś (nauz Białoszewski) musi być zamierzona.

T. F. Onole. Całe opowiadanie to dialog. A właściwie na dwa głosy rozpisane rozważania autora na temat twórczości, stanowiska człowieka w świecie, prawdy, stosunku do innych ludzi itp. Problemy istotne, ale artystycznie nie fraja. Od tego podejmujemy konwencje beletrystyczne, by środkami narracji rozstrzygnąć problemy. Pan sobie sprawę ułatwił. Każdej postaci w usta od razu Pan wkłada to, co „autor chciał powiedzieć”. Nie uwierzytelnia Pan swoich scen życiem.

W. P. Lublin. Wiersze sprawiają wrażenie, jakby nie chciały się zdobyć na najwyższy wysiłek. W tym widzę ryzyko. Zatrzymują się tam, gdzie mogłyby się zalać. Tak postępując — już się zalałaby. Leniwe niech przegrają w walce ze zbyt wielką przesadą, niżby miały wyjść korzystnie mniej zamierzając. Trudno i darmo. Hokeista, który boi się złamać nogę, niech nie wychodzi na lod.

T. P. Warszawa. Rozwiązanie w tym opowiadaniu jest całkiem dowolne. Ostatecznie życie rządzi się jakimis prawami i oisarzowi je narzuca. Tym różni się od współczesnego wiersza, który z każdego miejsca może rozwinąć się w każdym kierunku. Jeżeli należy brnąć na stole, to musi ktoś weń uderzyć. Pan prowadził swoją fabułę na zasadzie zupełnie biuńskich skojarzeń. W końcu nie wiem dlaczego bohater ucieka takową, zamiast zamówić jeszcze jeden eskalop i jeszcze jeden koniak. Konsekwencji!

R. F. Włodawa. Musi Pan przyznać, że moja rada się na coś przyniosła. Tekst na skomplikowaniu znacznie zyskał. Z drukiem radziłbym jeszcze poczekać, bo nie wykluczone, że to proces jeszcze nie zakończony. W tym, jak w sporcie: trzeba wyczuć, w którym momencie należy się oddać. Za wcześnie nie jest dobrze. Tak samo zresztą jak za późno.

KRZYŻÓWKA

(nr 13)

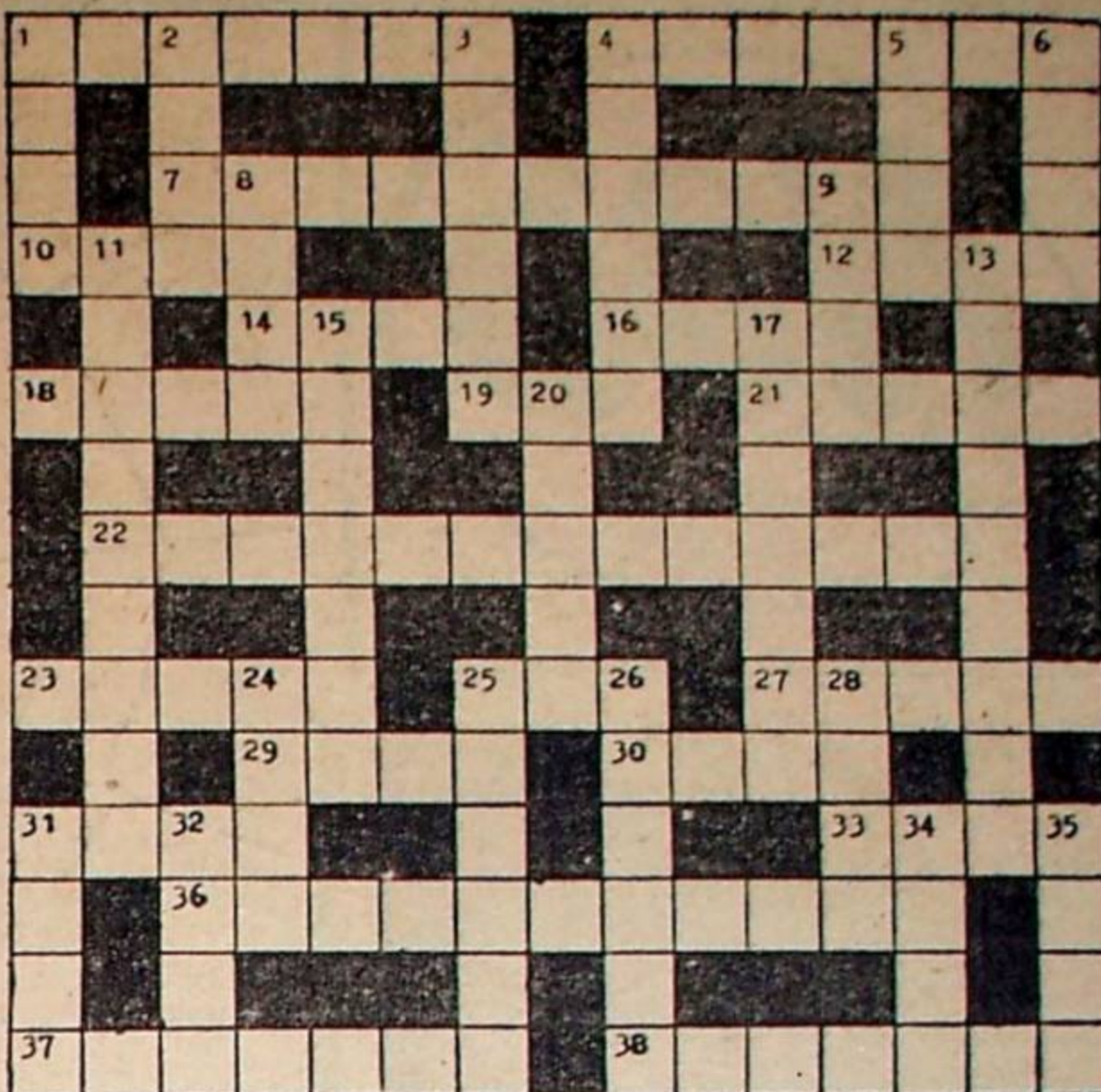
Poziomo: 1. wybitny polski pedagog i publicysta, który razem ze swymi wychowankami poszedł na smierć, 4. pracownik służby zdrowia, 7. malarz polski, twórca kurtyny w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie, 10. na dzień naczynia, 12. ciekła praça, 14. np. Homer, 16. pojedynczy obraz filmu, 18. niezłoty, 19. bohaterka elementarza, 21. stolica Maroka, 22. polski pisarz, modernista, bohater filmu „Dagny”, 23. duża grupa zwierząt, 25. wykonawca wyroku, 27. worek na pieniądze, 28. kreci się na niej koło rowerowe, 30. bóg miłości, 31. jeden z tych, którego posady leżą w gruzach, 33. zwierzęce wełnienie starożytnego boga Pinta, 36. malarz polski, twórca „Szalu”, 37. witaminowa przystawka, 38. wioślni poeta renesansowy, twórca „Orlanda szalonego”.

Pionowo: 1. świątynia dziesiątej muzy, 2. skropiona para, 3. małeńki pokóik, 4. skrzydło wojsk, 5. państwo afrykańskie, 6. surowiec hutny, 7. myśl przewodnia, 8. skóra drzewa, 11. krótka ponoczoła, 12. jeden z wieszczów, 15. poeta polski, kontynuator Awangardy Krakowskiej, 17. jezioro na Pomorzu dające nazwę niemu Pojezierzu, 20. spis, wykaz, 24. metoda dobrej roboty, 25. królewski pojazd, 26. garbnik zawarty w korze debowej, 28. państwo arabskie, 31. koń morski, 32. kanikula, 34. zwierzę domowe, 35. występ pojedynczego artysty.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr-u 11

Poziomo: kobza, skecz, Złotów, Afryka, odbiór, rocznik, Odra, Kornacki, Sarapis, Aetos, Kwiryna, Ibioda, idol, Trzaska, induktor, maka, Arystyp, armata, ojciec, jagoda, skład, Jagna.



Pionowo: Szkot, Gombrowicz, kwartałnik, Bartok, karcer, ehan, parasol, Pakistan, diablik, asekuracja, prowokator, ekstrakt, Adampol, satyra, nacląg, Kanał, York.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 11

bony książkowe po 40 zł za każdy wylosowali: Barbara Stachyra 26-010 Lublin, Gmina 11 2, Teresa Bielecka 31-311 Kraków, Rakowiecka 3 m. 4, Maria Garbowicz 26-666 Radom, Niedziałkowski 29-3, Tadeusz Jarząbski 13-395 Białystok, Czarna 2.



ŚCIĘCIE SŁUPA

Przy rogu ul. Narutowicza i malej uliczki prowadzącej do Muzeum Józefa Czechowicza w Lublinie stał do niedawna murek z napisem „Ścięcie słupa”. Liczę go najmniej kilkadziesiąt lat, ładnie zwieczony motywem znanym z architektury renesansowej i znakomicie spełniający swoją podstawową funkcję. W liście z okazji uroczystości na kładzie Zygmunt Mikulski, serdeczny lublinianin.

Przy końcu maja, jak stwierdziłem na slup i pobliskie drzewka wpadł samochód, ścinając rośliny i poważnie uszkodzając ów slup. Myślałem, że obiekt ten zostanie szybko doprowadzony do stanu pierwotnego: ostatecznie trochę ceniel i uciążna można w mieście znaleźć. Tymczasem po kilku dniach slup zniknął całkowicie — zapewne rozrobiony przez drogowców, którzy — jak wiadomo — albo nie widzieli, co czynią, albo skorzystał z okazji i zlikwidowali za budynek. Właśnie! Ten skromny slup znajdował się w rezerwacie zabudków miasta Lublina, a tym samym podlegał ochronie prawnej.

Ponieważ ustawa o ochronie dóbr kultury narodowej z 1962 roku wyraźnie adresowana jest do całego społeczeństwa, jako obywateli instancji opiekunów, korzystam z niej o to i domagam się od odpowiedzialnych urzędników — w tym miasteczku konserwatorów zabytków — wyjaśnienia tej smutnej sprawy.

Aniela Kochańska
Lublin

AUTOBUSOWA CORRIDA

W niedzielę, 28 maja, usiłowałam wejść do Zamościa do Lublina autobusem PKS. To, z czym zetknęłam się na dworcu autobusowym w „Padwie północny”, przekroczyło wszelkie moje wyobrażenia o brutalności, manifestowanej pod szyldem, było nie było, państwowej, a więc godnej zaufania instytucji. Nie dość, że nie dostałam się do trzech kolejnych autobusów, zmierzających w kierunku Lublina to jeszcze byłam świadkiem bezceremonialnego traktowania potencjalnych pasażerów przez kierowców. Ostre słowa, popychanie — to mało! Jeden z mistrzów kierownicy po prostu wjechał w tłum zarządzonej na stanowisku, turbojąc ludzi, choć na szczęście nie raniąc nikogo. W końcu odjechałam — dzięki protekcji znajomego, który miał „dojścia”.

Często podróżuję autobusami PKS, lecz z takim niedowładem organizacyjnym, brutalnością i chaosem nigdy się jeszcze nie zetknęłam.

List ten dedykuję ołcom miasta Zamościa z okazji zbliżającego się 400-lecia „pety polskiego renesansu”.

Paulina Różycka
Kraków

KOMPLET CZY NIE?!

Niedawno przeczytałam w prasie lubelskiej, że wszystkie dzieci klas początkowych szkół podstawowych będą zaopatrzone w komplet podręczników. To ciekawe! Jestem nauczycielem i wiem, że w mojej szkole brakuje przynajmniej 20 proc. podręczników. Z poważaniem

J. Z.

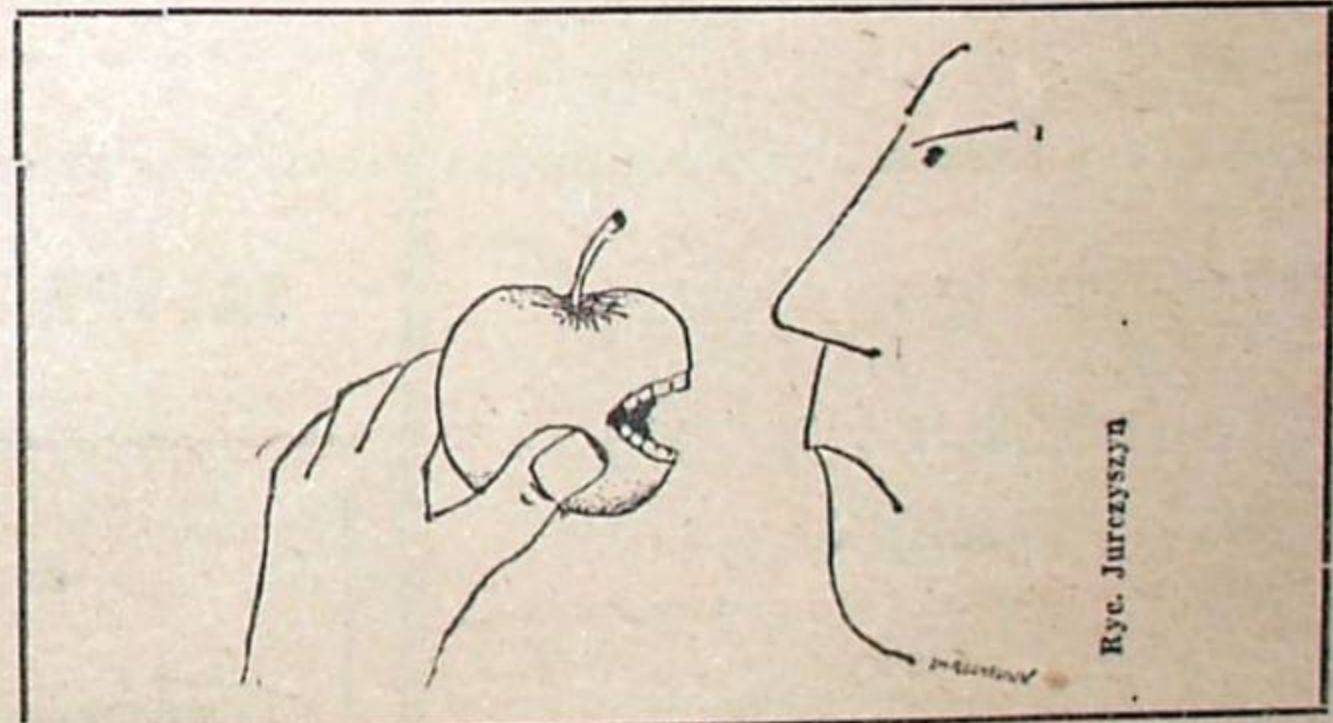
(nazwisko i adres znane redakcji)

„OJ, NIE LUBIĄ SIĘ ONI NIE LUBIĄ”

W ziażku z moim reportażem o powstającym tytule („Kamień” nr 8) ukazał się w poprzednim numerze naszego pisma list polemiczny Józefa Czerniaka z Wincentowu, gmina Krasnostaw.

Według akt sądowych oraz oświadczeń członków wspomnianych przez mojego oponenta komisji, sprawy w sporze o graniczny grunt mają się akurat odwrotnie, czyli tak, jak to zostało przeze mnie ukazane. Nie mogą więc być oszczerce.

Tadeusz Jasiński



Ryc. Jurczyński

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich

Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechzyca-Rudnicka (sekretarz redakcji), Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski (Redaktor techniczny) — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerate na kraj otrzymują Oddziały RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach.

— do 25 listopada na styczeń i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następnego.

— do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78.—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH”.

Zakłady pracy, instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumerate w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumerate ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 80% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie W dawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN. Unicka 4. Zam. 1661.

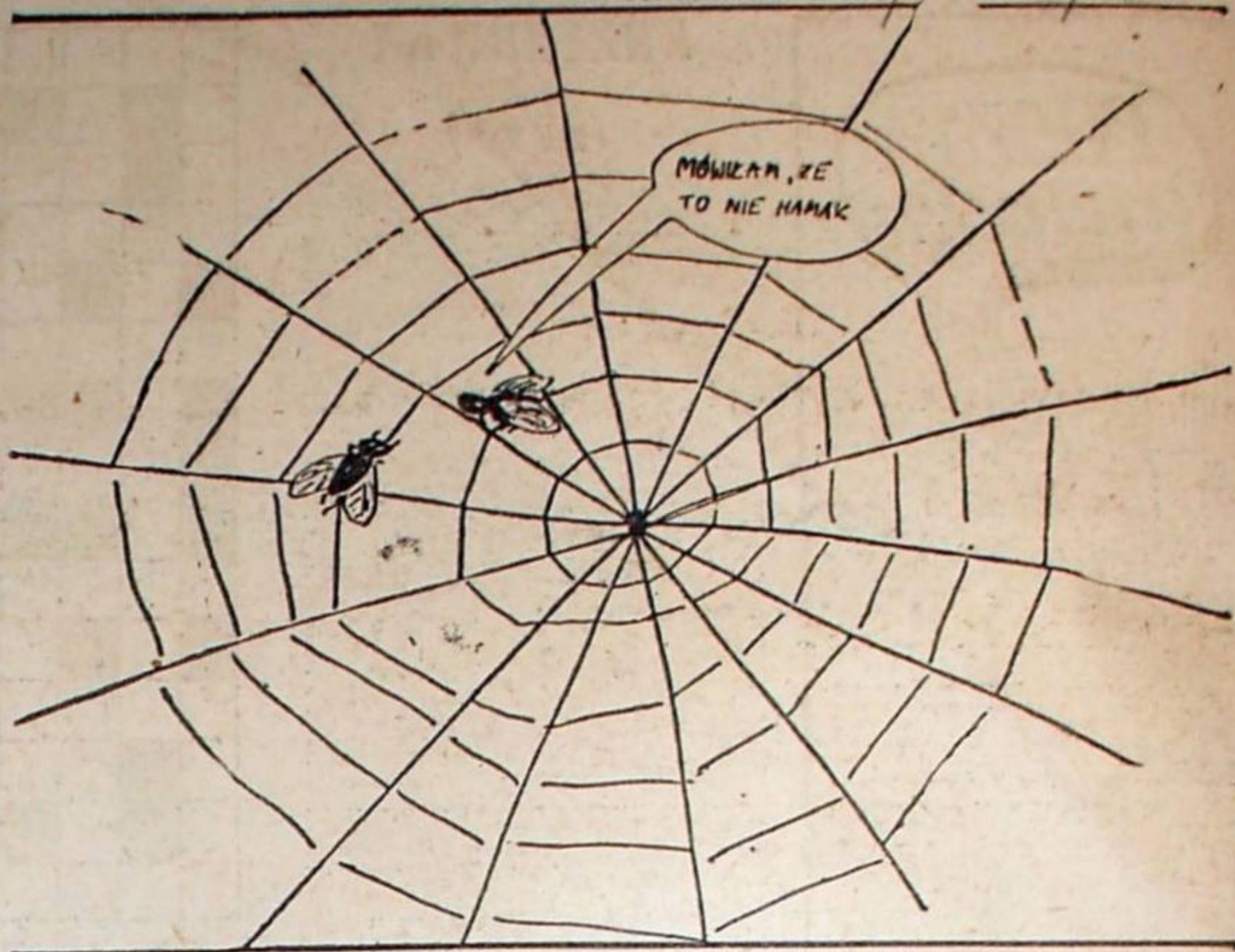
Numer łamal Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Stanisława Wielgosa

Nr indeksu 36231

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

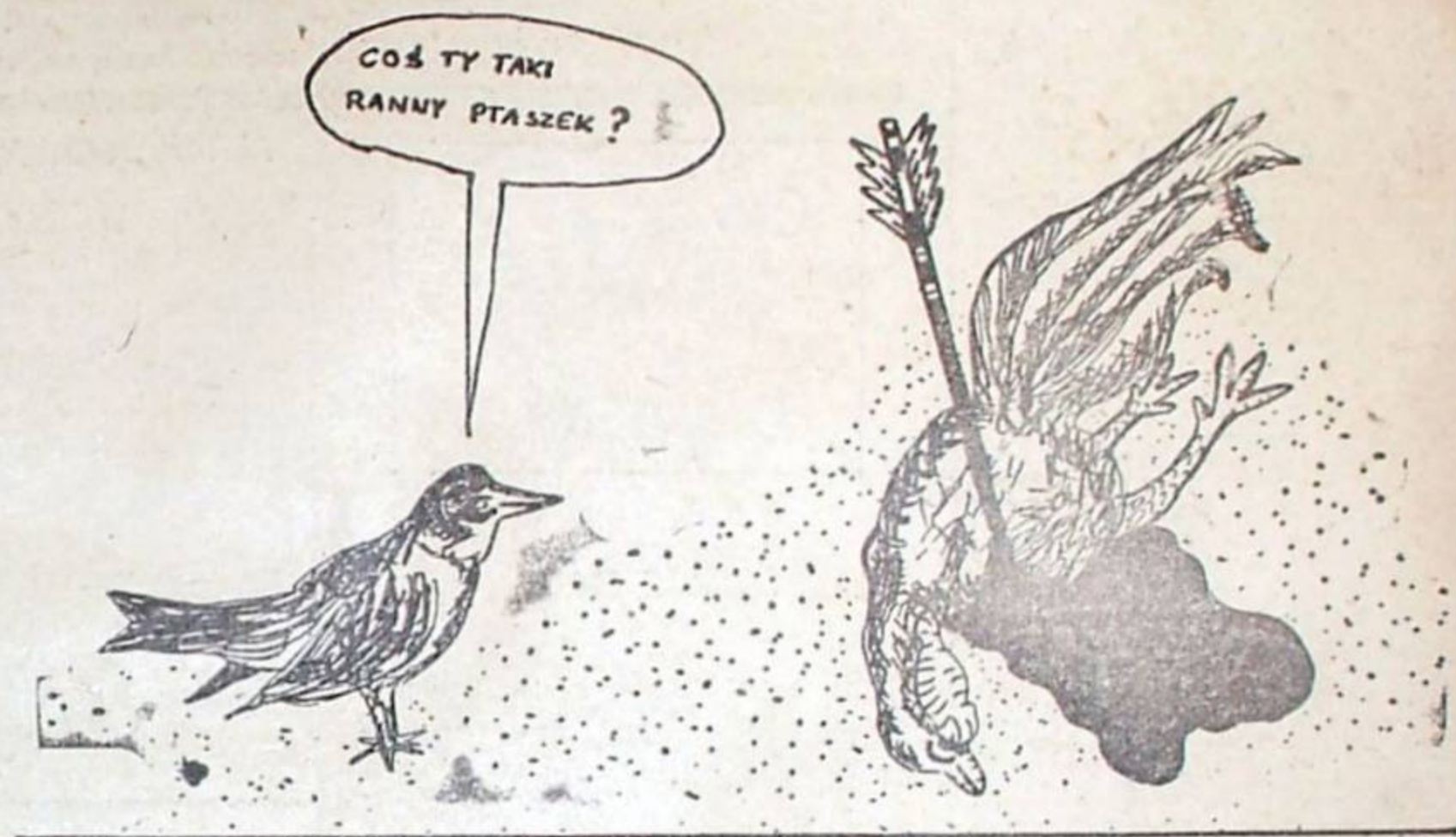
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, z-ca red. nac., dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.



Koń się uśmieł...

Fot. W. Stępień



Rys. Jacek Hordejuk

Marian Karczmarczyk

BEZ RYMU I RYTMU

ARTYSTA

Pukał pięknymi słowami. I otworzyła mu. Ramiona. Zwiedził „wystawę” jej ciała. Był zachwycony. A na pamiątkę zostawił jej obraz własnego pędzla. Ale mogła go obejrzyć dopiero po upływie dziewięciu miesięcy. To jest najgorsze, że nie ma możliwości sprzedania go na żadnej aukcji.

O CHWALENIU

Niektórzy lubią się chwalić. Czasem tym, czego nie zrobili. Iks się chwalił, że mówi prawdę prosto w oczy. Ktoś zadał sobie trud i sprawdził to. Okazało się, że nie kłamie. Mówił prawdę w oczy, ale tym, którzy byli kompletnie głusi. Nie sztuka więc mówić prosto w oczy. Trzeba pamiętać o uszach.

RÓŻNICA

Tym się różnił od psa, że pies szczekał na obcych, a on najczęściej — na swoich. Ta sytuacja zmusiła obszekiwanych do podjęcia radykalnych kroków zmierzających w kierunku polepszenia nieznośnej atmosfery. Postanowiono wiązać go. I to mu pomogło. Przemówił ludzkim głosem.

UCIECZKA

Uciekał przed nią w dzień i w nocy. A ona wciąż była przy nim i gryzła go swoją obecnością. Już wydawało mu się, że ucieknie, ale... Całatno doniesiono, że podczas ucieczki od... rzeczywistości Iks rozbił się. O...
□□

SATYRA CZECHOSŁOWACKA



Portret włoskiego terrorysty

Jerzy Górczyński

ROBACZYWE MYŚLI

Na własnych błędach można się uczyć, na cudzych zdobywać uznanie.

Nie rozcinaj gordyjskiego węzła językiem.

Skrepowanie rąk nie przeszkadza w zgrzytaniu zębami.

Najtrudniej walczyć o pokój w własną rodziną.

Plamy na sumieniu urodzić nie szkodzą.

Nie zastępuj kropek nad i wykrzyknikami.

Bywa, że bliższych w potrzebie trzeba szukać bardzo daleko.